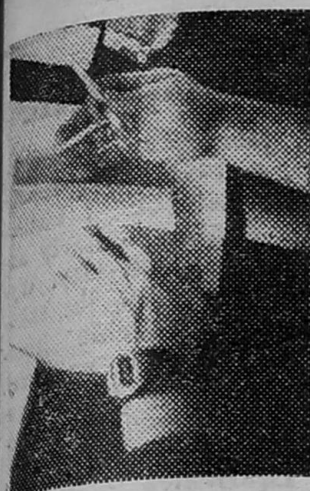
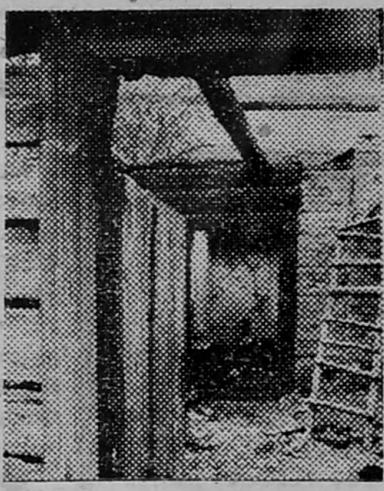




4

jesienne
refleksje

5

cena
nieszczęść

6

gawęda
o bosych
stopach

7

manipulanci



8-9

małpi raj

KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

47

(162)

KONTAKTY
20 XI 83cena
10 zł

W NASTĘPNYM NUMERZE: „Siedem znaków inteligenta”
 • jak się da, to się robi, czyli Tocki wśród kryzysowych hien
 • o sołtysie z Pieczonkowa, Niedzieli Palmowej w Rudzie, obiedzie u sołtysa Florka i innych faktach folklorystycznych w reportażu Zygmunta Szycha • „Nie pali się” — zapewnia komendant wojewódzkiej Straży Pożarnej • odpowiedzi na krytykę • rozmowa z Beatą Kozidrak i Andrzejem Pietrasem.

65 ROCZNICĘ odzyskania niepodległości społeczeństwo Łomżyńskiego uczciło złożeniem kwiatów w miejscach walki o wolność i pamięci o jej bohaterach. Zapłonęły znicze na grobie Leona Kaliwody, który poległ 11 listopada 1918 roku podczas rozbrajania Niemców w Łomży; zebrało się Prezydium Rady Wojewódzkiej PRON, którego obrady nawiązywały do wydarzeń przywracających Polskę na mapy Europy. Członkowie Prezydium złożyli kwiaty pod obeliskiem ku czci Tadeusza Kościuszki i pomnikiem powstańców 1863 roku.

NAD CZYM PRACUJĄ terenowe instancje partyjne? Odpowiadają sekretarze.

• **KMG PZPR w Zambrowie:** — Na posiedzeniu Egzekutywy oceniliśmy przebieg kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Tematami ożywionych dyskusji były najczęściej: zaopatrzenie, problem mieszkaniowy, funkcjonowanie handlu. Przygotowujemy się do miejsko-gminnej konferencji sprawozdawczo-wyborczej, którą zaplanowaliśmy na 10 XII br. Udało się nam, po konsultacji z władzami województwa, zwiększyć plan budownictwa mieszkaniowego w latach 1984/85.

• **KMG PZPR w Wysokiem Mazowieckim:** — Egzekutywa zatwierdziła materiały, które zostaną przedstawione do konsultacji wszystkim POP, i oceniła przebieg kampanii sprawozdawczo-wyborczej. 37 członków PZPR rozpoczęło kolejny semestr szkolenia na WUML-u. Tematem najbliższego seminarium w ramach kształcenia ideologicznego jest „Rola członków PZPR po XIII Plenum KC”.

• **KG PZPR w Łomży:** — Tematem ostatniego posiedzenia Egzekutywy była ocena realizacji zadań budownictwa wiejskiego. Najbliższą poświęcimy sprawom bezpieczeństwa publicznego, ochronie mienia społecznego i przeciwpożarowej. To ostatnie zagadnienie jest dla nas szczególnie ważne, ponieważ w ostatnim czasie nasza gmina przoduje w ilości pożarów.

DZIŚ, 17 XI, radni WRN-u dokonują oceny działalności spółdzielni mieszkaniowych w województwie oraz Miejskiej Rady Narodowej w Łomży.

GŁOSY O PODWYŻKACH.

• Stanisław Sierżputowski, brygadista w Fabryce Aparatury i Urządzeń Komunalnych w Łomży: — Sytuacja jest taka: ze swojej pensji utrzymać muszę dwoje dzieci i żonę, więc już dziś nie bardzo wystarcza do pierwszego. Gdybym jednak miał wybrać spośród przedstawionych wariantów podwyżek, wybrałbym ten, który zakłada najniższy wzrost cen artykułów podstawowych: chleba, mleka, masła, niższych gatunków mięsa i wędlin.

• Kazimierz Abuciewicz, rencista z Łomży: — Jestem rencistą tzw. starego portfela. W ubiegłym roku otrzymałem wprawdzie tysiąc złotych podwyżkę, ale też o sześćset złotych wzrósł mi czynsz. Jakikolwiek kolejny wzrost cen będzie dla mnie w tej sytuacji bardzo ciężki. Uważam więc, że podwyżkę przeprowadzić trzeba tak, by chroniła najsłabiej uposażonych, a główny jej ciężar spoczął na tych, którym gotówki nie brakuje. Podwyżki muszą być, gdyż państwa nie stać na ciągłe dokładanie.

• Irena Diląg, kierowniczka sekcji rachunkowości w NBP w Kolnie: — Jeśli dzięki temu można było przynajmniej zrealizować kartki, z czym w Kolnie jest fatalnie, byłabym zadowolona. Obawiam się jednak, że podwyżka takiego skutku może nie wywołać.

• Genowefa Drożyner, emerytka z Wysokiego Mazowieckiego: — Mam z mężem jedną emeryturę, i to tak „wysoką”, że już teraz kupuję

wszystko z ołówkiem w ręce. Gdy słyszę o nowej podwyżce, mam tylko jedno pytanie: „Jak związę koniec z końcem?” I nie znam odpowiedzi.

PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEMYSŁU SPOŻYWCZEGO w Łomży, w wyniku zdecydowanego stanowiska KW PZPR i Urzędu Wojewódzkiego w Łomży, błyskawicznie reagujących na krytykę rolników i prasy, wywołaną krzywdzącą plantatorów ziemniaków zmianą umów kontraktacyjnych, jeszcze w tym roku wyrówna im poniesione z tego tytułu straty.

NAUKA JEZYKÓW OBCYCH metodą laboratoryjną już wkrótce możliwa będzie w Łomży dzięki Wojewódzkiemu Uniwersytetowi Robotniczemu ZSMP, który zakupił do tego celu kompletną aparaturę.

INWESTOR PAWILONU HANDLOWEGO przy ul. Bema (osiedle Jantar) w Łomży zapomniał o takim drobiazgu, jak podłączenie sieci ciepłowniczej i kanalizacyjnej. Za fuzerkę (projektantów) zabrał się Zakład Budowlano-Remontowy PSS-u, Oddział w Łomży. Przy okazji prowadzonych wykopów nowy partacz zasypał wjazd do pobliskich garaży i tak ułożył zastępcy przejazd z jednego pasa ruchu na drugi, że każdy właściciel samochodu dry o całość podwozia. Dziwi, iż nie doszło tam jeszcze do poważniejszego wypadku. Czy dopiero on zwróci przytomność fuzerkom naprawiającym fuzerkę?

pyłanie drażliwe

— Kiedy wreszcie przestaną nas denerwować niesprawne, przestarzałe kasowniki „KraK” w autobusach Zakładu Komunikacji Miejskiej w Łomży?

Odpowiada inż. Andrzej Szostakowski, zastępca dyrektora do spraw eksploatacji Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży: — Dotychczas stosowane kasowniki rzeczywiście narażają kłopotu nie tylko pasażerom, ale i naszym służbom eksploatacyjnym: Z ich powodu „Kontakty” zresztą przypięły nam już „spięciową” łatkę. Odpowiadając na nią i pytanie mogą zapewnić, iż kasowniki nowego typu, tzw. „dziurkacz”, pojawiają się w naszych autobusach jeszcze pod koniec tego roku.

personalia

Biskup Ordynariusz diecezji łomżyńskiej mianował ks. prof. dr. Antoniego Boszkę rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży.

Rada Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej, po zapoznaniu się z wynikami kontroli NIK-u, odwołała ze stanowiska wiceprezesa do spraw produkcji ogrodnictwa i kontraktacji, mgr inż. Elżbietę Szymańską.

zaprosili nas

Instytut Słowiańszczyzny Polskiej Akademii Nauk w Warszawie — na międzynarodową sesję naukową poświęconą twórczości Jarosława Haśka; Wydział Kultury i Sztuki w Łomży — na inaugurację nowego roku działalności kulturalno-oświatowej; Zarząd Wojewódzkiej Ligi Ochrony Przyrody — na posiedzenie plenarne.

zdanie tygodnia

— Gdy tylko stanie się u nas coś złego — nawet niemowa pisze: „A nie mówiłem!”

Marek Sijko
nauczyciel z Zambrowa

myśl z atestem

„Smutna jest epoka, kiedy w życiu publicznym uczciwe zwie się naiwnym, a szczerze głupim”.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

PUNKT WIDZENIA

absolwent 1983

Absolwenci liceów ogólnokształcących, bez zawodu, bez jakiejkolwiek praktycznej umiejętności mogą liczyć, że za rok uda im się zdobyć indeks lub... przewracać papiery, i oczywiście, parzyć herbatki.

Absolwenci weterynarii, z zawodem, lecz bez propozycji pracy.

Absolwenci zespołu szkół drzewnych, z zawodem i — jak wyżej.

Absolwenci szkół średnich 1983. Jest ich w naszym regionie po prostu za dużo. Zdawać by się więc mogło, iż niezliczone miejsca pracy przypadają w udziale najlepszym. Niestety. W dalszym ciągu decydującą siłą przebiecia ma nie świadectwo z wyróżnieniem, lecz tzw. „wejście garbem”, czyli układy i dojścia rodziców oraz znajomych. Czy nadal stać nas na to, by przymusów, a więc ludzi, którzy od najmłodszych lat potrafili poważnie traktować swoje obowiązki, rzetelnie przygotowanych i niewątpliwie zdolnych odstawiać już na starcie na ślepy tor? Można odpowiedzieć: tak. Z łomżyńskich przedsiębiorstw tylko WPHW, jak dotąd, stara się pozyskać najlepszych absolwentów, proponując im jeszcze przed uzyskaniem świadectwa pracę w wybranej przez nich samych placówkach i podpisując umowę o pracę ze stawką o grupę wyższą niż z pozostałymi absolwentami. Taka metoda to doskonała motywacja do intensywnej nauki. Doskonale sposób na realizację ciągłego pustego hasła: „Odpowiedni człowiek na odpowiednim stanowisku”. Zapytam więc inaczej: czy nie stać nas na to? Kto odpowie?

ZBIGNIEW WRONOWSKI

Dnia 30 października 1983 r. zmarł w Krakowie

prof. dr hab.

JERZY WIŚNIEWSKI

pracownik Instytutu Historii PAN. Dzieje rodzinne Ziemi Łomżyńskiej oraz północno-wschodniego Mazowsza były przedmiotem Jego długoletnich i systematycznych studiów. Był aktywnym członkiem Komitetu Założycielskiego Towarzystwa i członkiem w Komitecie Honorowych na wielu sesjach. Radą i pracami swoimi wzbogacał dorobek naukowy Towarzystwa i innych instytucji naukowych.

Zmarły był wyróżniony wieloma odznaczeniami państwowymi i naukowymi.

Zarząd i członkowie
Łomżyńskiego Towarzystwa
Naukowego im. Wagów

gościli w Łomży

Doc. dr hab. Edward Budzich, kierownik Instytutu Rynku Wewnętrzny i Konsumpcji, Stanisław Warzyński, członek Rady Konsultacyjnej do spraw Kierowania Rynkiem Dóbr Konsumpcyjnych — uczestniczyli w spotkaniu z cyklu „Rynek i Konsumpcja” organizowanym przez LTN im. Wagów i WPHW; delegacja kopalni „Dąbrowa” z Okręgu Ostrawy w Czechosłowacji — przybyła na zaproszenie Wydziału Zatrudnienia i Spraw Socjalnych UW oraz ZW ZSMP w Łomży (w „Dąbrowie” pracuje wielu Polaków, w tym mieszkańcy Łomżyńskiego); prof. dr hab. Stanisław Włodarski, wykładowca Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Warszawie — wygłosił wykład z cyklu „Spotkania z nauką”, zorganizowanego przez WOKP PZPR w Łomży.

wieści gminne

ZAMBROW. Heroiczną i długotrwałą walkę o lokalizację szkoły stoczyli wsi: Wdźkówek i Laskowiec. Delegacje obu wsi dotarły nawet do Ministerstwa Oświaty. Wygrał Laskowiec. Wazy się los szkoły w Mroczkach. W dobie „zbiórów” budynek stał pusty i niszczał, kuszyły natomiast roboty przy wznowieniu szkoły w Zagrodach Zakrzewie.

• Zagrody Łętownica — w budowie sklep GS. W planach także obiekt w Mroczkach.

• Popłynęła woda w Mroczkach i Nowym Borku. Tym samym aż 4 wsi posiadają wodociąg.

• W Wierzbowie ułknęły w miejscu prace przy drodze, która polaczy wieś z Zambrowem. Przyczyną jest upór trzech rolników, którzy nie godzą się na odstąpienie skrawka swoich posesji.

• Od 5 lat ziemie wsi Wdźkówek I i II oraz Laskowiec Stary i Nowy (1025 ha) są zalewane wodą na skutek niewłaściwie rozpoczętej (dreny prowadzone od góry) i niezakończonych melioracji w sąsiedniej gminie Jabłonka Kościelna. Koordynatorem tych poczynań jest WZIR w Łomży.

• Dzienny skup ziemniaków dochodzi do 300 ton. Na już zalegającą ziemniaczaną halę nie ma chętnych, będzie więc gnić do wiosny. Proponujemy: stonka ziemniaczana pod ochroną.

• Po długiej przepychance SKR Laskowiec przyjął część wapna do rozsiania (do usługi tej ta niezależna i samodzielną firmą jest zobowiązana statutowo). Za to odczołgł kolejny przetarg na maszynę rolniczą zakupioną za pieniądze rolników. Przeważnie zdestawowany sprzęt trafi więc do rąk właścicieli po dużo wyższej cenie.

• Mleko: w roku ubiegłym skupiono 11 389 litrów, zaś do końca września br. — 13 174 litry białego płynu.

CYZEW. Znów — po okresowym zastopowaniu spowodowanym brakiem materiałów — ruszyła budowa przychodni. Inwestycja ta realizowana jest ze środków NFOZ. Gmina wykonała w 100 proc. plan świadczeń na ten Fundusz (192 tysiące złotych). Spontaniczność, z jaką rolnicy w ramach planu przeznaczili swoją cegiełkę na społeczny cel, budzi nasz nieplanowany zachwyt. Na trzy ośrodki zdrowia tylko cyzewski ma pełną obsadę lekarską.

• Zakończyła się kompleksowa kontrola Urzędu Miasta i Gminy. Urzędnicy z województwa nie stawali dwój.

• Skupiono już 33 000 ton buraków cukrowych.

• Na 47 wsi sołeckich nie mają utwardzonej drogi trzy: Zaręby Skórki, Góry Leśne, Dąbrowa Nowa Wieś. Budowa traktu do tej ostatniej trwa już trzy lata — mieszkańcy nie są w stanie pokryć jej kosztów (kilometr żwirówki kosztuje 3,5 miliona złotych).

• W Zarębach Skórkach w czynie społecznym postawią szkołę. Pownowione zostaną uruchomione placówki oświaty w Sienicy Lipusach oraz Dąbrowie Nowej Wsi. Gmina posiada już 6 szkół — największą odległość z miejsca zamieszkania do szkoły wynosi 3,5 kilometra.

• Naczelnik boi się powtórki zimy stulecia. Przy obecnych cenach paliwa i usług gminie grozi bankructwo, gdy przyjdzie do odśnieżania.

NUR. Nadbużańskie wsie oczekują na przedłużenie wodociągu z Nura.

• Wróble ewierkają o planowaną budowę pawilonu handlowego.

• Rolnicy oczekują aż śrutu, od której pęcznieje gminny magazyn, straci swą wartość odżywczą. Wówczas specjalna komisja spisze protokół i skieruje śrutę do wolnej sprzedaży.

• Szkoła-rudera, która wykształciła już kilka pokoleń nurzan, ma do 1985 roku przejść na zasłużoną emeryturę. Do tego czasu ma zostać oddany do użytku nowy obiekt. LPB zmontowało już dwa domy nauczyciela i rozpoczęło prace ziemne pod przyszłą szkołę. Projekt przewiduje również nowe przedszkole, które obecnie gnieździ się w dzierżawionej chacie. Inspekcja zamknęła w nim profilaktycznie wyżywienie — z powodu panującej w województwie żółtaczki. Dzieci nie zasłużyły na tę karę, gdyż mimo prymitywnych warunków przedszkole jest schludne i czyste.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.

• Dużo wcześniej, gdyż może jeszcze w tym roku, do okazałej się.



Ważne jest, by partia stała się opozycyjna w stosunku do wszelkiego zła. To przede wszystkim z naszych szeregów powinna wychodzić krytyka i zdecydowanie zwalczania zjawisk, które są z socjalizmem sprzeczne, a tym samym dostarczają amunicji wrogowi.

gen. armii **WOJCIECH JARUZELSKI**
I sekretarz KC PZPR

O KONDYCJI PARTII

Służba klasie robotniczej, narodowi to walka ze wszystkim, co ciągnie nas wstecz, co oburza ludzi pracy — z niecierpliwością, z bezdusznym biurokratyzmem, naruszaniem godności robotniczej, marnotrawstwem społecznego mienia, z bałaganem i złą organizacją pracy, dyktando i korupcją. Partia zdobywa zaufanie, gdy staje na czele tej walki i wykorzystuje słusze niezadowolenie ludzi pracy jako konstruktywną siłę w ulepszeniu rzeczywistości.

JOZEF CZYREK (z referatu Biura Politycznego KC PZPR)

To prawda, że wiele jeszcze organizacji partyjnych nie umie głośno i odważnie mówić o tym, co się u nich robi i dzieje, o co walczą.

EUGENIUSZ JAKUBASZEK
I sekretarz KW PZPR w Koszalinie

XIII Plenum dokonało oceny stanu naszej partii, jej ideowego wnętrza. Uznaliśmy, iż nie przestała ona ani na chwilę być kierowniczą siłą w państwie. Ale po wstrząsach, które przeżyła, odzyskuje dopiero swą przewodnią rolę w społeczeństwie. Dlatego trytycyzm i samokrytycyzm w toku naszych obrad jest szczególnie uzasadniony, szczególnie ważny i potrzebny.

gen. armii
WOJCIECH JARUZELSKI
I sekretarz KC PZPR

Partijność nie może kończyć się na zebraniu. Najważniejsze to, co robi się i jak postępuje między zebraniem, jak potwierdza się lenińską zasadę: gdzie członek partii — tam partia. Partijność musi oznaczać pracowitość, sumiennosc i moralną wrażliwość, odnoszenie do siebie wymagań, które stawia się innym.

Pod tym względem mamy bardzo dużo do zrobienia. Chodzi nie tylko o przezwyciężanie zła, które istniało w przeszłości. Notujemy zjawiska nawrotu obojętności wobec obecnych głosów krytycznych dotyczących różnych negatywnych zjawisk życia. Spotyka się pośród rądr różnych szczebli i różnych dziedzin — stare nawyki biurokratycznego działania, lekceważenie opinii publicznej, niereagowanie na uzasadnione postulaty, bezduszny stosunek do ludzkich spraw.

JOZEF CZYREK (z referatu Biura Politycznego KC PZPR)

Być komunistą, to znaczy być przede wszystkim człowiekiem odważnym i otwartym. To znaczy być wśród ludzi, borykać się ze światem, jaki jest, uczyć innych i uczyć się od innych.

gen. armii
WOJCIECH JARUZELSKI
I sekretarz KC PZPR

Trzeba nam dziś nadal unikać pustosłowia i uchwalomani. Wiele krytycznych uwag można odnieść do języka partyjnego, jakim się posługujemy. Ileż w nim jeszcze intencjonalności, frazesów, neologizmów, niepotrzebnej bełkotliwości stylu.

KAZIMIERZ MORAWSKI,
przewodniczący Centralnej Komisji Rewizyjnej PZPR

Najważniejsze jest jednak nie to, co dzieje się na tak zwanych skrzydłach, na których zresztą wznosić się w górę nie sposób, lecz w podstawowym trzonie naszej partii. Jest on coraz bardziej zwarty i jednolity, chociaż niemało jeszcze partyjnych towarzyszy nie przy-

za granicę powrócili na łono Ojczyzny żałować za grzechy, ale także tych, którzy niesłusznie zostali opluci, moralnie zniszczeni, psychicznie wyczerpani, a mimo to przetrwali w swojej Ojczyźnie, w partii. Pokazywać musimy także i to, że często mamy do czynienia z aseku-

Krytyka osoby bądź ludzi realizujących z ramienia partii konkretne zadanie jest dopuszczalna czy wręcz niezbędna do rozwoju nieodczuwanych myśli marksistowsko-leninowskiej — intelektualnych poszukiwań. Takie postawienie sprawy wymaga z jednej strony obecności w partii prawdziwie ideowych członków, a z drugiej — sprawiedliwego ich traktowania.

ZYGMUNT GALECKI, zastępca dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej, Warszawa

Nie mamy patentów na nieomylnosc. Błędów będzie mniej, będą mniej kosztowne, jeśli krytyka i samokrytyka stanie się instrumentem stosowanym codziennie, naturalną, nie wzbudzającą sensacji metodą działania.

gen. armii
WOJCIECH JARUZELSKI
I sekretarz KC PZPR

O PRZYWARACH

Zgadzanie się na zło jest przejawem kapitulancji i wygodnictwa, a także robienia osobistej kariery za wszelką cenę.

ANDRZEJ HOFFMAN, dyrektor i ordynator Oddziału Chirurgii Urazowej w Zespole Opieki Zdrowotnej w Żninie (woj. bydgoskie)

Każdy fakt skrupulatnego egzekwowania odpowiedzialności za decyzje i działania wzmacnia wiarygodność przyjętej przez partię linii politycznej, a każdy brak konsekwencji wiarygodność tę podważa. Nie ma jeszcze pełnego przekonania, że dziś taka odpowiedzialność istnieje i że jest egzekwowana. Wiele razy np. telewizja lub prasa słusznie pokazywały karygodne wręcz przejawy niegospodarności w zakładach, nie licząc natomiast były przypadki pokazania sankcji za błędne decyzje i działania.

ZOFIA STEPIEN, pomoc snowacza w Częstochowskich Zakładach Przemysłu Lniarskiego „Stradom”

Obserwujemy tu i ówdzie próby odradzania się starych nawyków rozwiązywania spraw kadrowych nie w oparciu o rzeczywiste kwalifikacje polityczne, zawodowe i moralne, lecz na zasadzie znajomości. Nie trzeba podkreślać, że jest to bardzo szkodliwe, że w przeszłości było źródłem wielu błędów. Tego rodzaju praktyki musimy zdecydowanie zwalczać, w przeciwnym razie grozi powrót do kumoterskich układów i skompromitowanej karuzeli kadrowej.

JERZY URBANSKI, przewodniczący Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej

Okazuje się, że niektórzy towarzysze zle zjawiska piętnują chętnie „w ogóle”, kierując przeważnie wzrok ku górze, czy też w inną stronę. U siebie natomiast są pobłażliwi i wyrozumiali wobec tych, którzy na pobłażliwość nie zasługują. Instancje partyjne powinny w takich sytuacjach postępować rygorystycznie, cofać mandat do pełnienia odpowiedzialnego stanowiska.

gen. armii
WOJCIECH JARUZELSKI
I sekretarz KC PZPR



swoilo sobie gruntownie uchwał IX Zjazdu, ich postawy są częstokroć nijakie. W tym kontekście trzeba powiedzieć wyraźnie — naszym groźnym przeciwnikiem jest również ignorancja, brak wiedzy, powierzchownosc, pomieszczenie pojęć [...]. Pewna część członków partii ocenia sprawę „na oko”, a zdarza się, że ulega sensacyjności i plotce. Widać niekiedy elementarny brak znajomości faktów, liczb, konkre-
tów.

gen. armii
WOJCIECH JARUZELSKI
I sekretarz KC PZPR

O KRYTYCE

Mamy moralne prawo i obowiązek domagania się od dziennikarzy, publicystów, twórców programów telewizyjnych, aby prezentowali nie tylko tych, którzy z pola działania „Solidarności”, z dróg prowadzących

ranetwem, niewiarą, a nierzadko wręcz z tchórzostwem u niektórych członków partii.

STANISŁAWA AMTOSZEWSKA, I sekretarz KG PZPR w Tuchowie (woj. wrocławskie)

Ciągle jeszcze niezadowolający jest stosunek do krytyki negatywnych zjawisk sygnalizowanych w prasie, radiu i telewizji oraz w listach ludzi pracy. Komisje kontroli partyjnej spotykają się niejednokrotnie z przypadkami bezdusznego stosunku do interesanta, formalnego odpowiadania na listy i zażalenia. Jeśli nawet po interwencji sprawa zostanie załatwiona, to zbyt rzadko wyraża się wnioski służbowe i partyjne w stosunku do biurokratów.

JERZY URBANSKI, przewodniczący Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej

Apel o...



jesienne
refleksje

3 października, poniedziałek

Ciągle interesanci, ciągle interwencje. Właściciel studni oskarżył sąsiada, że nie pytając o pozwolenie też z niej korzysta. Udało się rozwiązać ten konflikt. Po mojej rozmowie z naczelnikiem Miasta i Gminy obie strony podały sobie ręce. Dziś właściciel studni przyszedł mi podziękować. Ucieszyłem się w duchu. Musimy wysłuchać ludzi nawet wtedy, gdy ich sprawy mogą nam się wydawać śmieszne lub nieistotne. Dla nich są najważniejsze.

6 października, czwartek

Inauguracja roku szkolenia partyjnego. Pierwszy wykład: „Stosunki państwo-kościół”. Temat na czasie oczekiwany przez słuchaczy. Mamy przykłady z własnego podwórka, że księża nie zawsze zajmują się sprawami wiary. Mówili o tym m.in. grajewscy pronownicy. Szkolenia są potrzebne. Musimy zajmować się tematami trudnymi, takimi, którymi żyje społeczeństwo.

10 października, poniedziałek

Emerytowana nauczycielka, mieszkanka sąsiedniej gminy, prosi o pomoc w otrzymaniu spółdzielczego M. Rozmawiałem z prezesem spółdzielni. Wyjaśniłem, że o przyspieszenie przydziału mieszkania można starać się po 5 latach stażu członkowskiego, a ona zgromadziła wkład dopiero dwa lata temu. Wyszła niezadowolona. Przepisów nie można omijać. Nie zrozumiała, chociaż mówiła tyle o sprawiedliwości społecznej. Przypomniała mi się sprawa zamiany mieszkania zakładowego. Pracownik z 30-letnim stażem wydepłtał ścieżkę do dyrekcji, związków zawodowych, rady pracowniczej. Mieszkania w nowym osiedlu otrzymali młodszy lub nowo przyjęci. Chciałem poznać wszystkie „przeciw”. Okazało się, że ich nie ma. Człowiek ten przeprowadził się już do nowego, z centralnym ogrzewaniem i bieżącą wodą.

Każda taka interwencja doprowadza mnie do szewskiej pasji. Tyle mówi się o sprawiedliwości społecznej na zebraniach, w domu, przy każdej okazji, a gdy sytuacja wymaga pomocy człowiekowi, nie realizuje się tych szlachetnych ideałów.

20 października, czwartek

I znowu rolnicy zostali nabici w butelkę. Mimo wcześniejszego planu kontraktacji — wytwórnia tytoniu w Augustowie nie jest przygotowana do skupu surowca od plantatorów (brak magazynów). Radzi, by rolnicy na własny koszt wyręczyli ją w przechowywaniu tytoniu i ponieśli dodatkowe ryzyko strat (po 23 miesiącach tytoni traci swoją pierwotną wartość, a rolnik dostanie po kieszeni). Wymowny przykład nieudolności kierownictwa wytwórni, przerzucanie kłopotów na barki chłopów. Umowa kontraktacyjna obowiązuje obie strony. Jeżeli jej warunki łamie przedsiębiorstwo uspołecznione, naraża na szwank najważniejsze interesy ludowego państwa, którego podstawą jest przecież sojusz robotniczo-chłopski. Tak właśnie — w kategoriach szkody ustrojowej — trzeba na to patrzeć.

Chłopi mają podejrzenia, że komu udało się zbąć tytoni, załatwił to w „nieczysty” sposób. Trudno się dziwić, że kwitnie łapownictwo, skoro jest to jedyny sposób ratowania się przed niewątpliwą stratą finansową. Dlaczego ciągle „załatwianie”, a nie solidne wypełnianie obowiązków i odpowiedzialność ma charakterystykę państwowe — obywateli?

24 października, poniedziałek

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze w jednej z POP. Jestem zaskoczony postawą: „Nie ja, może ktoś inny”. Ludzie, którzy zawsze byli chętni do działania, dziś nie chcą podjąć się pełnienia funkcji sekretarza. Nie daje mi to spokoju. Skąd to oglądanie się na innych, niewiara we własne siły? Ożywiona dyskusja, ciekawe wnioski i co dalej? Sekretarzem został ponownie ten sam towarzysz. W pełni na to zasługuje, ale martwi mnie postawa pozostałych członków Partii.

25 października, wtorek

Fabryka Wag. Zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Podobne do wielu innych. To dobrze, że dyskutuje się o trudnościach życia codziennego: zaopatrzeniu, mieszkaniach, zjawiskach patologii społecznej, ale trzeba mówić też o problemach



wewnątrzpartyjnych. Porządkowanie własnych spraw, to warunek lepszej pracy w nowej kadencji, gwarancja skutecznego oddziaływania także „na zewnątrz”. XIII Plenum KC PZPR zwraca na to uwagę. Tymczasem życiowe tematy sprowadzają się na zebraniach przede wszystkim do wskazywania negatywnych zjawisk społecznych, za mało przedstawia się konkretnych rozwiązań, za mało mówi się o przyczynach zła społecznego. Wybory. Często stają się okazją do osobistych rozgrywek. Trudno pogodzić demokrację z obojętnością. Bywa, że człowiek wartościowy, znany z umiejętności organizacyjnych, ceniony pracownik i działacz, przegrywa. To nie nowość, że sekretarz KZ-u może mieć większy autorytet wśród załogi niż dyrektor. Stawia się więc na wygodnego kierownictwa. Z jakim skutkiem — łatwo przewidzieć. Czy w ten sposób można zbudować autorytet organizacji?

26 października, środa

Moje pobebraniowe refleksje: „Zebrał się po to, aby się rozjechać”. Odgłos odsuwanych krzeseł i do domu. A krytyka? A samokry-

tyka? Wielu obraża się, gdy usłyszą prawdę. Dlaczego? Czy można tolerować uparte: „Tylko ja mam rację”? Są wśród kadry partyjnej ludzie wartościowi. W najtrudniejszych dla PZPR chwilach zostali, dzieląc z nami wszystkie kłopoty. O tym, że idzie na lepsze, świadczą też wyniki produkcyjne m.in. w Zakładach Płyt Wiórowych, „Pasmancie”, PBR-olu, RPM-ie, Fabryce Wag. Robotnicy rozumieją kryzysową sytuację. To dzięki ich zaangażowaniu w pracę budzi się nadzieja, że z zakrepu wychodzimy na prostą. Martwi mnie, że zbyt często spotykamy się z sytuacją, gdy o losie człowieka decydują tzw. układy, łapówki, kumoterstwo. Czyżby decyzyja może przekreślić latami budowane, zaufanie do władzy, Partii, wiarę w realizację zasad socjalizmu. To właśnie PZPR musi być uczulona na takie negatywne zjawiska, bo godność ludzka wymaga najwyższego szacunku.

28 października, piątek

Posiedzenie Egzekutywy KMG: ocena realizacji naszych wytycznych z marca br. na temat ładu, porządku i bezpieczeństwa publicznego. Mamy najwyższy współczynnik przestępczości w województwie. Walka ze złem nie może być sprawą tylko instytucji do tego powołanych. Prawdzą plagą są osoby uchylające się od pracy. Ustawa nie rozwiązuje problemu pasożytnictwa społecznego. Chociaż „niebieskie ptaki” rejestrują się w Urzędzie Miasta i Gminy, żaden kierownik zakładu nie chce brać sobie na głowę takiego typu. To skutki czasów, gdy wiele spraw bardzo ważnych odkładało się „na potem”. Statystyki wyglądają, a ludzie żyli ciągle w poczuciu zagrożenia. Wnioski: uczulić społeczeństwo, instytucje, organizacje społeczne na spekulację i łapownictwo (w pamięci mamy jeszcze aresztowanie byłego pracownika UMig oraz nauczyciela z Wojewodzina za branie łapówek). Na nielegalny handel wódką, brak zabezpieczenia mienia zakładowego. Dozorców ciągle budzi milicja, a kierownik danego przedsiębiorstwa ogranicza się do złożenia meldunku o kradzieży sprzętu. Zdaję sobie sprawę, że zjawisk patologii społecznej nie da się zlikwidować „od ręki”. Na nic zdadzą się programy na papierze i słowa potępienia, gdy sami nie będziemy reagować na przejawy wandalizmu, chuligaństwa, życia innych naszym kosztem. Wierzę, że mieszkańcy Grajewa nam w tym pomogą.

31 października, poniedziałek

Zastanawiam się, czy w niektórych zakładach pracy potrzebni są dyrektorzy, kierownicy i ci wszyscy, którzy biorą pieniądze za załatwienie ludzkich spraw z obowiązku, skoro inni (w tym instancja partyjna) muszą załatwiać za nich wewnętrzne sprawy. Dotyczy to zwłaszcza zakładów produkcyjnych, a więc miejsc, gdzie robotnikowi należy się szczególny szacunek. Interwencje często dotyczą błahostek, ale dla szukających u nas pomocy urastają do rangi problemów. Prawie każdą z takich spraw można załatwić „od ręki” w instancji, w urzędach, organizacjach do tego powołanych. Niestety. Ludzie odprawieni z kwitkiem zmuszeni są do wędrówki od drzwi do drzwi. Na moją interwencję często słyszę, że „o tej sprawie dopiero się dowiadujemy”. Gdzie odpowiedzialność, etyka zawodowa m.in., członków Partii, pełniących kierownicze funkcje?

KAZIMIERZ WĄDOŁOWSKI, inż. melioracji, członek Partii od 1974 r., od 23 IX 1979 r., I sekretarz KMG PZPR w Grajewie.

kontakty
kontaktów

Jestem rolnikiem i wraz z rodziną prowadzę gospodarstwo rolne o powierzchni 12,8 ha. Mam 10 sztuk bydła, 8 owiec, 4 tuczniki i parę koni. Budowałem oborę, a władza gminy (nie mam do nich pretensji) zapewniła mi, że jak postawię krokiew, otrzymam eternit na pokrycie dachu. Jako że od miesiąca lipca 1983 roku cały mój dobytek stoi pod gołym niebem, za wszelką cenę starałem się postawić krokiew, ale, niestety, do dnia dzisiejszego eternitu nie otrzymałem. Kazano mi kryć dach słomą. Zdziwiłem się, bo wiem, że jest to niezgodne z przepisami, a w dodatku nie mam takiej słomy.

Proszę więc o pomoc, bo konie i bydło do domu na zimę nie mogę przecież przyjąć.

Każdego Polaka boli serce o nasze wspólne dobro. Może i władzę zaboli?

CZESŁAW PUPEK
PUPKI, GM TUROŚL

Od redakcji: Niestety, nie pierwsza to już w tej sprawie, tak dramatyczna prośba o pomoc, wobec której jesteśmy bezradni. W samej gminie Turośl — według wyjaśnienia naczelnika Urzędu Gminy — czeka na pokrycie około pięćdziesięciu budynków, zaś roczne przydziały eternitu starczą ledwie na przykrycie kilku. Możemy więc jedynie przekazać Panu obietnicę naczelnika, iż w przypadku jakichkolwiek dodatkowych dostaw, otrzyma Pan przydział w pierwszej kolejności.

A może ktoś posiada eternit, ale nie tak zawansowaną budowę, by zdążyć przed zimą z kryciem dachu, i mógłby go panu Pupkowi do wosny pożyczyć? Naczelnik obiecał bowiem również, że jeśli nie będzie dodatkowych dostaw eternitu w tym roku, nasz Czytelnik otrzyma przydział w pierwszej kolejności z puli roku przyszłego.

★

W pierwszej połowie października, w godzinach rannych, obywatel Wacław Demiańczuk, mieszkaniec wsi Stara Łomża, wywiózł żużel z przewagą śmieci — puszki po konserwach, opakowania szklane, papiery, druty, substancje wydzielające przykry zapach — w miejsce publiczne, bo na drogę przy studni wiejskiej. Śmietnik ten zajmuje około 30 metrów długości i dwa metry szerokości drogi.

Byliśmy świadkami tworzenia tego wysypiska, więc o sprawie poinformowaliśmy dzielnicowego wójta Stara Łomża oraz terenowego inspektora Sanepidu. Na naszą interwencję inspektor odpowiedział, że śmietnik niech sprzątnie ten, komu on przeszkadza. A on nie tyle przeszkadza, co przede wszystkim zagraża bezpieczeństwu dzieci i utrudnia dojeżdżenie do studni.

Pytamy więc, do kogo należy sprzątnięcie tego śmietnika?

HENRYKA MAJCHRAK
JADWIGA PERZANEWSKA
JADWIGA WĘGROSKA
ZDZISŁAW ZON
STARA ŁOMŻA

Od redakcji: Czekamy na wyjaśnienie Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łomży.

★

Dziękujemy „Kontaktom” za pomoc, gdyż dzięki Waszym publikacjom zgłosiło się do nas wielu byłych członków organizacji młodzieżowych, których poszukiwaliśmy.

BOGDAN BOCHINSKI
CZŁONEK KOMISJI
HISTORYCZNEJ
ZW ZSMP W ŁOMŻY



DANUTA WRONISZEWSKA: — Państwowy Zakład Ubezpieczeń obchodził w tym roku 180-lecie swego istnienia. Nie wiele jest w Polsce tak długowiecznych instytucji. Co, Pańskim zdaniem, sprzyja żywotności PZU?

JAN LENARD: — Strach; obawa przed nieszczęściem i chęć zlagodzenia jego skutków. Idea pomocy osobom cierpiącym wskutek dość powszechnych pożarów znacznie wyprzedziła fakt założenia w kwietniu 1803 roku Towarzystwa Ogniwego dla Miast, a w rok później — Towarzystwa Ogniwego Wiejskiego. Zanim te ubezpieczenia stały się powszechne i obowiązkowe, istniały różne formy pomocy, choćby tzw. „Kasy ogniowe”, ognia bowiem ludzie obawiali się najbardziej; z dyndem sły wówczas całe wsie i miasteczka o domach drewnianych, krytych słomą. Dopiero po 40 latach pomyślano o następnych ubezpieczeniach: transportu wodnego i lądowego. Cywilizacja przynosiła wciąż nowe problemy i inne rodzaje asykuracji.

— Czy dzisiejsze PZU przewidziało już wszelkie możliwe nieszczęścia?

— Niemal wszystkie. Ubezpieczeniami nie są objęte tylko szkody spowodowane suszą i przez zwierzęcą łowiecką. Być może od przyszłego roku powstaną nowe towarzystwa ubezpieczeniowe, które wypełnią tę lukę. Nowa ustawa przewiduje taką ewentualność. Pod względem ilości klientów nie dorównuje nam jednak żadna instytucja; ubezpiecza się każdy, od przedszkolaka do staruszka.

— Ale ostatnio coraz częściej się na Was narzeka. Wysokość kwot wpłacanych na konto PZU ciągle wzrasta, a sumy wypłacane nie pokrywają strat. Czyżby tak szacowna instytucja zaczęła żerować na ludzkim nieszczęściu?

— Nie jesteśmy zdziercami. Wiadomo jednak, że nikt do nas nie będzie dopłacał. Musimy wyjść przynajmniej na zero. Pretensje wynikają częściej z niedoinformowania klientów, a w głównej mierze — z rozchwiania rynku i gwałtownych skoków cen. Od kiedy zrównoważyły się państwowe i wolnorynkowe ceny produktów rolnych, nie mamy praktycznie skarg na odszkodowania za straty w rolnictwie. Najbardziej poszkodowani są właściciele samochodów osobowych. Jakość usług w „Polmozbycie” odstrasza klientów. Poza tym wielu nie podejmuje się on wcale, np. łomżyński nie lakieruje, a białostocki nie nadaje z obsługą klientów ze swego terenu. W „Polmozbycie” malowanie fiata kosztuje 16 000, natomiast u prywatnego rzemieślnika — o 10 000 więcej. Brakuje części zamiennych. Rzemieślnicy skądś je mają, ale „odstępują” po pięciokrotnie wyższych cenach. PZU nie może w takiej sytuacji pokryć faktycznych kosztów naprawy uszkodzonego w wypadku pojazdu. Nie ubezpieczamy przed skutkami kryzysu i spekulacji...

— Czy rozumie Pan rozgoryczenie tych, którym obrabowano mieszkanie, a Państwowy Zakład Ubezpieczeń zwrócił im jedynie 5 proc. skradzionej gotówki i 40 proc. wartości biżuterii? Na dodatek wszystko zależy od zadeklarowanej sumy ubezpieczenia.

— Rozumiem, ale my nie możemy wyrównać wszystkich strat. Wchodzi tu w rachubę również zafundowanie. Obawiamy się (przykro mi o tym mówić) nieuczciwości naszych klientów. Ktoś np. ubezpieczy mieszkanie na 2 miliony i nawet przy małym włamaniu może puleć strat podnieść — powiedzmy — z 200 tysięcy do miliona... Poza tym uważamy, że większą ilość gotówki powinien się przechowywać w PKO, a nie w bieżącej pościelowej. Każdy sam powinien myśleć o jak najlepszym zabezpieczeniu swojego mienia.

— Ze nie jesteśmy narodem przezornym, to wiedziałam, ale że lubimy naciskać PZU, nigdy bym nie przypuszczała.

— Niestety, zdarza się i tak, choć czasem trudno to udowodnić. Np. najbardziej deficytowym „działem” ubezpieczeń w naszym województwie jest obowiązkowe ubezpieczenie zwierząt. Niezrozumiała więc jest propozycja niektórych radnych zniesienia tego obowiązku i wprowadzenia ubezpieczenia dobro-

O 180-letniej tradycji ubezpieczeniowej w Polsce, wczorajszych i dzisiejszych problemach, zyskach i stratach Zakładu oraz jego klientów — z dyrektorem Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Łomży, Janem Lenardem — rozmawia Danuta Wroniszewska.

wolnego, które jest przecież droższe i bardziej uciążliwe (np. ponoszenie kosztów świadectw lekarskich o stanie zdrowotności i wartości zwierzęcia, obowiązek ubezpieczenia całego stada, uciążliwe znakowanie ubezpieczonych sztuk i jednorazowe opłacenie składki przy zawieraniu ubezpieczenia). Przy obowiązkowym ubezpieczeniu występowały przypadki niepodawania wszystkich zwierząt (koni i bydła od jednego roku życia).

— Takie „numery” nie zdarzają się jednak np. w zachodnich województwach, gdzie tradycje ubezpieczeniowe są inne.

— Zgadzam się. Jednak czasem ludzie próbują wyludzić odszkodowanie, gdyż np. nie ma praktycznie możliwości nabycia nowej karoserii inaczej niż na zlecenie rzeczoznawców PZU.

naszych inspektorów. Cała rzeka skarg i odwołań spłynęła jednak do nas. A benzyna? Towar jak każdy inny, lecz jego reglamentacja nie zajmuje się ani handel, ani Centrala Produktów Naftowych, lecz Państwowy Zakład Ubezpieczeń. Irytuje nas też likwidacja masowych szkód gradowych przy skromnej obsadzie kadrowej. Zatrudniamy sezonowo likwidatorów, lecz im nie zawsze zależy na dobrym imieniu firmy.

— A pracownikom etatowym zależy?

— Widocznie bardzo, skoro nie ma skarg na ich zachowanie, stosunek do pracy i klientów. Wszystkim nowym pracownikom tłumaczymy, że muszą być mili i spokojni nawet wówczas, gdy wysłuchują zupełnie nieuzasadnionych pretensji. Co roku jest blisko 50 tysięcy poszkodowanych i każdemu

odbyciu służby wojskowej, zatrudniłem się w inspektoracie łomżyńskim. Praca była ciekawa, choć uciążliwa (jeździło się na delegacje w gumiakach, chłopską furmanką albo siedziało za biurkiem do 21.00 w dziewięć osób i w ciasnym pokoiku). O zmianie zajęcia jednak nie myślałem, gdyż kolektyw zgrał się bardzo, a atmosferę pracy cenię bardziej niż wyższe zarobki.

— Co jeszcze mogłoby poprawić pracownikom PZU humory, oprócz podwyżek płac, oczywiście?

— Wyrozumiałość klientów, lepsza współpraca z rozlicznymi ekspertami i rzeczoznawcami, precyzyjne kosztorysy odszkodowań i unormowanie rynku.

— Czy finanse Zakładu-jubilata są dobre?

— Nieszczególnie. W 1979 r. mieliśmy w Łomżyńskim 23 miliony strat, w 1980 — aż 132. W roku 1981 wyszliśmy na plus sumą 14 milionów, a w ubiegłym — 22. Na dochodach zależy nam bardzo, gdyż chcielibyśmy rozwijać działalność prewencyjną.

— O niej słyszymy rzadziej.

DANUTA WRONISZEWSKA

cena nieszczęść



— Skoro wróciliśmy do samochodów, czy opłacają się sztuczne „stłuczki”?

— Eksperci z reguły się na nich poznają i roszczenia takie są oddawane. Mnie dręczą raczej prawdziwe uszkodzenia, tyle że spowodowane przez osoby nie uprawnione do prowadzenia pojazdów (np. dzieci kierujące ciągnikiem) lub nietrzeźwe. Wystarczy odpust, by po kilku dniach zaczęły napływać zgłoszenia o uszkodzeniach. Trudno po takim czasie cokolwiek udowodnić, lecz, znając życie, wiele można się domyślić. Nie jesteśmy jednak organem śledczym...

— Co psuje opinię PZU?

— Wiele złej sławy zawdzięczamy niefortunnym pomysłom. W 1980 r. wprowadzono rządowe zasiłki za wymoknięcie upraw rolnych. Nie wiem, dlaczego nas w to „obuto”, skoro fundusze na odszkodowania wypłacało Ministerstwo Rolnictwa, a akcję prowadziła służba rolna po jednodniowym przeszkoleniu przez

jego bieda wydaje się najważniejsza.

— Pan ociera się o ludzkie nieszczęścia od 30 lat, a jeszcze nie wywiesił Pan na drzwiach swego gabinetu urzędowych godzin przyjęć.

— I nie powieszę Zależy mi na tym, by każdy klient został jak najlepiej obsłużony i wychodził od nas przekonany, że zrobiliśmy dla niego wszystko, co było w naszej mocy. Wielu nie rozumie przepisów nie zna swoich uprawnień. Nieraz trzeba długo i cierpliwie tłumaczyć, by klient nabrał przekonania o sprawiedliwym wyrównaniu jego strat materialnych i osobowych.

— Co sprawiło, że tyle lat przepracował Pan w jednej firmie?

— Skłamałbym mówiąc, że był to zawód, o którym marzyłem od dziecka. Mój starszy brat, po skończeniu szkoły oficerskiej, zaczął pracować w białostockim PZU, a że był z tego zadowolony, więc ja, po

— Tymczasem w ostatnich czterech latach wydaliśmy na nią blisko 50 milionów. Prewencja u nas jest równie opłacalna, jak profilaktyka w lecznictwie. Dlatego finansujemy modernizację ulic, budowę stacji diagnostycznych, remiz strażackich, zbiorników wodnych, ośrodków zdrowia na wsi. Za nasze fundusze w znacznej mierze została przeprowadzona telefonizacja wsi i wymiana pokryć dachowych. Finansujemy prowadzenie dziecińców wiejskich w czasie pilnych prac polowych. Czekamy na propozycje administracji gmin i prezydenta Łomży; chętnie pomożemy tam, gdzie chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa życiu i mieniu ludzi.

— „Kontakty” życzą Zakładowi pomyslnego rozwoju w następnych stuleciach. Dziękuję za rozmowę.

Fot. GABOR LÖRINCZY

5

KONTAKTY
20 XI 83

zbiórka





Wiatr obija słowa o zrudziałą, nadnarwiańską skarpe, dym z wysuszojch, sosnowych szczap kłębami omija betonowe ściany hotelu i ginie gdzieś wysoko. Ognisko — niemal w sercu miasta.

— Druhu, jak to było wtedy? Niech druh opowie.

„Młot” jakby inny. W „cywilkach”, z bujną siwą czupryną nad oprawionymi w czarne prostokąty szklami. A przecież taki sam: wesoly, gadatliwy. Toteż jak przed laty, cała drużyna oczy utkwiała w drobnej sylwetce, bez której oni by chyba...

— Szła drużyna przez bezładny i bezkształtny tłum cywilów czwórkami, parla w sam środek i nagle zdarta komenda, jak koń wędzidłem, w trzasku podkutych butów stawała pięknie jak mur. Wysługiwalimy się społeczeństwu, jak tylko mogliśmy; przynieść krzesła na obchody, uwić wieńce, zanieść przesyłkę, ciągle byliśmy chciwi i niesyci „dobrych uczynków”, które są Prawem nakazane, ale przecie nielatwo o nie.

Wśród harcerzy szum — to prawie jak dziś. I krzesła trzeba nościć, i dobre uczynki robić, a tak samo o nie nielatwo. Ale już po plecach kulakiem stukają: — Ciszka. Niech „Młot” mówi, jeszcze wiele ma do powiedzenia.

— Jedynę przykazanę, jakieśmy wtedy sobie przyjęli, to: żadnej pomocy od dorosłych. Żyć po swojemu. Jakby trzeba było samym chlebem, to samym chlebem, ale swoim. Oczywiście, ojciec, matka muszą ubrać, książki dać. Ale w drużynie — liczyć tylko na siebie.

Był rok 1916. W Łomży — pełno Niemców. Bieda aż piszczała, miasto wydłupione. Żadnych fabryk, żadnego przemysłu. Kilku chłopaków, którzy wiosną 1916 roku zorganizowali pierwszy pluton imienia Kościuszki, liczyło sobie od 13 do 17 lat. Mienili się skautami, choć przecie żaden o skautingu pojęcia nie miał, dopiero kształcili się na książeczce księdza Zawady „Czuj — Duch” oraz paru numerach, ukazującego się we Lwowie, „Skaut”. Nie chcieli od razu rzucać swiata na kolana, ot, po prostu samodzielnie coś w życiu zmienić.

Przez skulone szaro-zielone postacie przeleciał pomruk: — O czym on mówi, toż podobno takiego rozpasania, jak teraz, nie było nigdy.

— Mówicie, że teraz jest bieda. Nieprawda, nie znacie biedy. My liczyć mogliśmy tylko na siebie. Co mi mogła pomóc matka, jak ona kartofle liczyła na sztuki. Nie było butów. No jakże iść na wycieczkę bez butów? A iść trzeba, bo przecie jak nie pójdziemy do lasu, to nie jesteśmy żadnymi skautami. Więc ktoś znalazł kawał starej cecaty i „podkuliśmy” swoje zniszczone chodaki. Starczyło na kilometr. Jaka to była sensacja, gdy wyszliśmy kiedyś boso. Z początku z nas się śmiali. A potem to była moda. Jak dziewczyny zobaczyły, że chłopaki na bosaka po Dwornej, po Długiej, po Nowym Rynku, to jedna i druga się odważała... Tę modę zanieśliśmy potem do Warszawy. Bo butów starczyło jedynie na uroczystości.

A ekwipunek? Najpierw „dorobiliśmy” się owijaczy wykonanych z dwóch wojskowych koców. Potem dziewczyny poszły zastępom chorągiewki. Z pobliskich pobojo-wisk zbieraliśmy stare menażki, manlerki, łopaty saperskie, strażackie toporki. Z takim ekwipunkiem co niedzielę maszerowaliśmy do lasu. Tyle że nie mieliśmy jeszcze, co gotować. Przez cały tydzień więc gromadziliśmy zapasy — po jednym ziemniaku, sucharze czy garstce kaszy. Razem ugotowane — jakże to smakowało!

Chcieliśmy jednak mieć trochę własnych pieniędzy, bo to dziadanie już nam nadojadło. Latem, w wynajętym u jednego z właścicieli ogrodzie, sadziliśmy sałatę. Sprzedawaliśmy ją bezpośrednio w domach. Potem doszły porzeczki i agrest. Praca się opłacała. Mieliśmy już swoją kasę. Zbieraliśmy także ziola dla znajomego aptekarza. Przy okazji uczyliśmy się przyrody. Wiele roślin początkowo nie znaliśmy, dopiero potem dowiadaliśmy się, że np. ta niepozorna roślinka to krwawnik. Z czasem bez trudu odróżnialiśmy mięte psią od żabiej czy też świni-skiej. Zarabialiśmy również przy kolportażu wydawnictw Spółdziel-

70 LAT ŁOMŻYŃSKIEGO HARCERSTWA

G A W Ę D A

O BOSYCH STOPACH I KARNOSCI

ni „Czytaj”, wędrowaliśmy z książką do wielu podłomżyńskich wsi. Nieraz była to pierwsza książka na wsi.

Zgromadzone przez lato pieniądze pozwoliły nam na wynajęcie lokalu na Izbę. Miesięcznie płaciliśmy 50 rubli komornego.

Nowy rok szkolny. Codzienne zbiórki przed lekcjami na szkolnym boisku. Musztra formalna i bojowa wedle regulaminu Legionów. Przybywało nam kandydatów. W niespełna dwa tygodnie było już ponad stu chłopaków. Pluton został przemianowany na drużynę. Pomyśleć tylko: przeszło stu chłop-ców. Własna jzba z trzech pokoi. W kasie kilkaset rubli. W bibliotece podręcznik „Czuj — Duch”. Poza tym wykształcenie zdobyte przez trzech „plutonowych” na dwutygodniowym kursie. To już bogactwo!

Wiatr zawiewa od Narwi, dym szczypie w oczy, szczupleje sterta sosnowych szczap. Twarze rozognione, a w zapadającym mroku wsiakają miękko wspomnienia.

Jeden za drugiego w ogień by poszedł. Z tym ogniem to było kiedyś dosłownie. Po burzy w podłomżyńskiej wsi wybuchł pożar. Pobiegliśmy więc prosto do remizy, może przydamy się

strażakom? Ale strażaków jeszcze nie było. Od dozorczy dostaliśmy starą sikawkę na dwóch kółkach. Gdy już dobrze napociliśmy się przy walce z żywiołem — dopiero dotarli nam z pomocą strażacy.

Marzeniem każdego z nas było robić dobre uczynki. Nie było to jednak takie proste. Bywało więc i tak, że zastępowy rozkazywał: „Na 30 minut rozejść się i zrobić dobry uczynek”. Raz gania jeden taki w beznadziej, a tu patrzy: staruszka ze studni czerpie wodę. Myśli sobie: „Zaniósę wodę, może będzie zaliczone”. Więc do studni i łap za wiadro, a staruszka w krzyk: „Poszedł won, łobuzie jeden, wiadro chce kraść! I to już trzeci...”

Najlepiej było tak: zrywaliśmy się we trzech. Jeden kupował pół kilo wiśni czy śliwek, czy co tam jeszcze było, szedł chodnikiem i pluł pestkami przed siebie. A inni za nim zbierali. A potem inny pluł, żeby tamten też mógł zrobić dobry uczynek. W raporcie pisali: zrobili dobry uczynek. Ale to się szybko wydało, zostało zabronione i znowu był kłopot.

Potem robiliśmy teatr, do którego pisaliśmy sztuki — bo te, które były, to albo głupie, albo znowu o miłości, z dziewczynami. A skąd brać

dziewczyzny? Więc napisaliśmy — o skautach, z wycieczką na scenie, ogniskiem i piosenkami oraz obowiązkowo dobrym uczynkiem. Na premierze zabrakło miejsc w naszej sali. Potem założyliśmy chór. Nie było jeszcze gazety. Jak ją zrobić? Druk, oczywiście, wykluczony. Długo trwały dyskusje nad jej kształtem. Gotowy był tylko tytuł — „Czuwaj”. Postanowiliśmy pisać naszą gazetę ręcznie w jednym egzemplarzu i wykladać do czytania w Izbie. Za przeczytanie — grosz. Ani brudzić ani wynosić — nie wolno.

Wkrótce podziwialiśmy swoje wspólne dzieło. Na pierwszej stronie tytuł rysowany tuszem. Pod winiętą — gawęda o karności, potem „instrukcja” — jak zrobić dzwonek elektryczny, kronika, rozkazy i sprawy bieżące, a na końcu — humor. Po tygodniu ukazał się drugi numer, potem trzeci. Osiem stron każdego tygodnia, zapisanych od deski do deski. Czasem były spory, gdy ktoś nie zgadzał się z tym, co pisze autor. Wówczas redaktor robił wykład o „wolności prasy” i praca trwała nadal. Tak ukazało się 18 numerów „Czuwaja”. Dziewiętnasty, w 30 egzemplarzach, był odcity już na hektografie.

Chusteczką przeciera czoło, mocniej wspiera się na zakrzywionej łasce. Chwilę milczy, by potem z wolna rozpocząć tę najważniejszą część gawędy.

Trzeba było Niemcom wybić szyby. Nie udało się peowia-kom, poprosiliśmy o zezwolenie na przeprowadzenie tej akcji. Komenda zgodziła się. Na przygotowania pozostały tylko dwie godziny. Do akcji mieliśmy przystąpić o 9.00 wieczorem, gdy niemieccy trabacze skończyli grać capstrzyk. Star-si patrolowali ulice i jednocześnie mieli stanowić nasze ubezpieczenie na wypadek, gdyby coś nie wyszło. Zaczęliśmy od parteru, potem kolejno każde piętro. Jeszcze tylko policz-yć wybite szyby i już można wy-cofywać się ogrodami na wojskowy cmentarz. Tej nocy wszystkie niemieckie urzędy mieszkania i ko-szary zostały bez szyb. Także i gubernator, choć mieszkał w mocno strzeżonej willi, noc też spędzał w mocno wietrznym mieszkaniu.

Następnego dnia na miasto nałożono kontrybucję, godzinę policyjna ustalono na szóstą. Po mieście paradowali Niemcy w bojowym oporządzeniu. Zaczęły się łapanki. My zaś mieliśmy doskonałą okazję wy-próbowania własnych umiejętności w podchodzeniu. Wieczorem miała się odbyć zbiórka w parku miejskim. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że zabawa się skończyła. To już była walka. Każdy miał przysięść na zbiórke własną trasą. Skakało się więc od bramy do bramy, prze-mykaliśmy przez podwórka, ogrody... O dziewiątej w zaroślach pod parkowym płotem drużyna zameldowała się w komplecie. Przekona-liśmy się wówczas, że z Niemcami można sobie dać radę.

Gdy młoda nauczycielka wychodziła za maż za opiekuna drużyny, otrzymali od nas olbrzymi bukiet róż. Zdziwienie było tym większe, że przecie w mieście róż nie było. Tylko... u Niemców.

Drużyna rosła. Może trochę wol-niej niż na początku, ale z każdym miesiącem było nas więcej. Nieste-ty, również ubywało. Początkowo ludzi pociągala musztra, mundurek. Uczono ich Prawa. Ale większej wagi do tego nie przywiązywali — jakoś się człowiek wykrecał, jak w szkole... Nie udawało się jednak. Tacy odchodzili. Nie było to przy-jemne. Długo potem meczło nas pytanie: dlaczego tak się dzieje?

Trzeba wytrwałości. Do tego do-chodzi się długo. Niedawno inspek-tor szkolny użalał się, że harcer-stwo zaczyna wysychać. Liczba har-cerzy maleje, nie ma etatów na o-piekunów. Przecież to nie etaty ro-bią harcerstwo.

To już koniec opowieści. Myśla-łem, że wysnuje ją jak nitkę, która się będzie nawijać jak kłębek. A tu wynurza się z ciemnej wody nie-pamięci od razu wszystko, jak kłab wodorostów. Rozplątuję to sobie sami, przyjaciele, bo myślę, że wy tak samo dziś, jak my wtedy, szu-kacie ciągle tej drogi, która prowa-dzi do prawdziwego harcerstwa.

Notował:
WAWRZYNIEC KŁOSIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

Stanisław Dęhowski — „Młot” spotkał się z łomżyńskimi harcerzami na uroczystej zbiórce.



Wście
la od g
nie garn
ka rolni
o tym n
darstw
jeszcze
SKR-ach
rzystają
nio zwą
A zaczę
Z SK
dw
wozy, a
korzyści
ciu rolni
szła „po
Kółko r
który r
się naw
becności
za podst
duszu R
Do dzi
sał osier
był pra
Spółdziel
jaśnia, i
-owi na
kumentó
że zgod
ni Kótle
nie wsp
funkcję
roku, a
lata wcz
dzielnia
wzloty i
niały się
— Nie
dyrektor
li zwroc
pracowa
milionió
magazy
dużony
lionów
Krysty
cząca
ZSMP
ciąża se
wiedzia
składa
szal, ile
koncie?
ponad
wiadal
3 milio
i teraz
dzają t
czy, a
nistracj
go nie
ze wsi
Maria
wiejski
da u
Wściekl
ty, jest
mu kto
zboża.
uzyska
choce g
„Po co
nie by
wać”. I
głębino
akurat
padły
lepsj s
niejedn
cami t
i złości
wieś z
z tego
wych p
Nie
wia je
by mia
wilby
ry ope
spokoj
nia, kp
— C
winien
nioneg
wiedzi
zebran
wieś z
o czyn
Dalem
niczacy
miałby
ba mu
uchwa
rzenie
przez
czych
Szede
szły z
choler
— T
ca się
nervó
razy r

Wścieklice — wieś złożona z trzydziestu gospodarzy, leżąca z dala od głównego traktu z Kolna do Stawisk, nigdy entuzjastycznie nie garnęła się do nowego. Gdy w sąsiednich miejscowościach kółka rolnicze zawiązywały się już kilkanaście lat temu, tu jeszcze nikt o tym nie myślał. Właściciele kilku-kilkunastohektarowych gospodarstw woleli oddychać własną, wprowadzić już „schłopiałkę”, ale jeszcze szlachciurówką, piersią niż szukać lżejszego powietrza w SKR-ach czy innych organizacjach. Choć z eskaerowskich usług korzystają, to do kółkowej wspólnoty kijem ich nie napędzisz. Ostatnio zwątpili nawet ci, którzy czasami myśleli o założeniu Kółka. A zaczęło się zupełnie niewinnie i niby przypadkowo.

Z SKR-u w Kolnie przyjechało dwóch uświadamiaczy, którzy radzili, jak stosować nawozy, aby przynosiły optymalne korzyści. Przyszło na zebranie sześciu rolników, bo „araz po wsi poszła „począta”, że we Wścieklicach Kółko Rolnicze założą na siłę. Ci, którzy nie przybyli, nie domyślali się nawet, że podpisy na „liście oświadczenia” posłużą władzom SKR-u za podstawę do odebrania im Funduszu Rozwoju Rolnictwa.

Do dziś nie wiadomo, kto dopisał osiem nazwisk, by dokument był prawomocny. Dyrektor Banku Spółdzielczego, Dominik Duda, wyjaśnia, iż pieniądze przekazał SKR-owi na podstawie wszystkich dokumentów, wśród których była także zgoda wsi. Dyrektor Spółdzielni Kółek Rolniczych nie ma z tym nic wspólnego, ponieważ objął tę funkcję dopiero w kwietniu 1982 roku, a rzecz rozegrała się cztery lata wcześniej. W tym czasie Spółdzielnia kolneńska przeżywała wloty i upadki. Dwukrotnie zmieniła się jej władza.

— Nie ma mocnych — powiada dyrektor — żeby mi teraz rozkazali zwrócić wsi tę kwotę, choć wypracowaliśmy plus w wysokości 5 milionów złotych. Ale oto buduję magazyny, wiaty i nadal jestem zadłużony w Banku na około 100 milionów złotych.

Krystyna Piekarska, przewodnicząca Zarządu Miejsko-Gminnego ZSMP w Kolnie, główną winą obciąża sołtysa wsi. — To on nie wiedział — mówi — pod czym składa swój podpis? Nigdy nie słyszał, ile pieniędzy mają na swoim koncie? Kwity są wystawione na ponad 800 tysięcy złotych, a rozpowiadał wszystkim, że zebrali blisko 3 miliony. Ludzie w to uwierzyli i teraz o kradzież pozostałych posadzają to SKR, to Bank Spółdzielczy, a nawet całą gminną administrację. Nie chciałbym być teraz w skórze sołtysa, bo jeśli się z tego nie wytłumaczy, to wywożą go ze wsi jak czarownicę.

Marian Sarnacki, doświadczony wiejski masarnik, który przed każdą uroczystością rodzinną w Wścieklicach miał pełne ręce roboty, jest teraz tak przybity, jakby mu kto na plecy wrzucił metr zboża. Chciałby się usprawiedliwić, uzyskać rozgrzeszenie, ale nikt nie chce go słuchać. Jedni powiadają: „Po coś szedł na to zebranie. Pewnie byłeś namówiony, by zainicjować”. Drudzy wytykają mu studnię głębinową; szybko postawił, i to akurat w tym czasie, kiedy przepadały fundusze. Najlepsi sąsiedzi, z którymi spędził niejedną wiejską uroczystość, plecami teraz odwracają się do niego i złośliwie wołają: „Judaszu, całą wieś zaprzędał. Powiedz, co teraz z tego masz? Ile ci odpalili ze wsiowych pieniędzy?”

Nie do twarzy, a i nie do zdrowia jest mu taka atmosfera. Gdyby miał się gdzie wynieść, zostawiłby wszystko. Przeszedł już cztery operacje, chciałby mieć trochę spokoju, a tu same poszturchiwanie, kpiny i śmiechy.

— Czy naprawdę jestem temu winien? — przy czystej z rozwodnionego spirytusu poszukuje odpowiedzi. — Owszem byłem na tym zebraniu. Poszedłem nie po to, aby wieś zaprzędać, ale by posłuchać, o czym goście z Kolna będą mówić. Dalem się nawet zrobić przewodniczącym obrad. Gdyby nie to, miałbym teraz spokój. A oni chyba musieli pod kaską mieć tekst uchwały, że zgadzamy się na utworzenie Kółka Rolniczego i przejęcie przez Spółdzielnię Kółek Rolniczych w Kolnie naszych funduszy. Szedłem tam z dobrą wiarą, a wyszły z tego takie szachrajstwa. Po cholere potrzebne mi to na starość!

— Tyle nocy nie spałam — wtrąca się do rozmowy żona. — Ile nerwów mnie to kosztowało! Wiele razy mu mówiłam, jak kto przyje-

chał do wsi: „Nie idź”. Nie musiał być na każdym zebraniu. Teraz słucha mnie jak dziecko, ale już za późno.

Syn sołtysa wprowadzić był wtedy w mieszkaniu, ale nie wie, o czym rozmawiali. Teraz tata wyjechał do Kolna, a mama siedzi obok na furmance i prozumiawczo mruga, aby syn nie mówił. On spuszcza głowę i pogania konie.

Franciszek Bikowski oborał już pole, obsiał oziminą. Dzisiaj wyciąga obornik pod przyszłe uprawy jare Budynki gospodarskie ma jeszcze niezłe. W najgorszym stanie jest dom. U spodu już się kruszy. Z budową nowego poczeka, aż chłopcy podrosną. Może wówczas zmontuje własną brygadę budowlaną? Trochę za późno wziął się za gospodarowanie; dopiero po śmierci ojca — w roku 1976. Wcześniej pracował jako kierowca w Spółdzielni Transportu Wiejskiego.

— Nie byłoby źle — powiada — żeby nie ten kryzys. Teraz cała wina na niego idzie. Po chleb trzeba jechać do Kolna. Myśleliśmy, że może z Funduszu Rozwoju Rolnictwa postawimy sklep. Sołtys mówił, że mamy około 3 milionów złotych. Wzięliśmy się do budowy, a tu okazuje się, że po pieniądzach ani śladu.

Wieś złożyła się już po 1000 złotych na adwokata Składki odmówili: Włodzimierz Skrodzki (sołtys) i Marian Sarnacki. Pierwszy nie wiadomo, z jakich powodów. Drugi ponoć wątpi, że sprawa sądowa cokolwiek zmieni: — Oszukał nas tak, że swego już nie dojdziemy.

Mirek Wszeborowski, przewodniczący kółka Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, nie traci nadziei. Wieś musi odzyskać swoje pieniądze albo przynajmniej dowiedzieć się, na co one poszły. Był już u naczelnika gminy. Usłyszał, że do porachunku wsi ze Spółdzielnią Kółek Rolniczych on, szef gminnej administracji, nie ma. Prosił o radę adwokatów, potem prokuratora o wszczęcie śledztwa. Dowiedział się, że spór kwalifikuje się do sprawy cywilnej, nie będzie więc dochodzenia z urzędu. A wieś wierzy, że przewodniczący ZSMP rzecz doprowadzi do końca. Otrzymał od rolników wszelkie pełnomocnictwa na podejmowanie wszystkich decyzji w ich imieniu.

Na II Zjeździe Wojewódzkim Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego w Łomży zagrzmiął z mównicy jak doświadczony orator: „Nadal nie ma sprawiedliwości. Wieś straciła Fundusz Rozwoju Rolnictwa i nikt nie jest w stanie, ani naczelnik, ani prokurator, wyjaśnić tej sprawy. Boją się podjąć również adwokaci. Chłop jak był sam, tak jest. I gdzie my tu mówimy o autorytecie, autentyzmie działania?”

Autobus do Wścieklic odjeżdża z Kolna za pół godziny. Młody człowiek, dowiedziawszy się, w jakiej sprawie przybył do miasta, zaprasza do „Milej” na piwo. Ekspedientka nie ma wydać z dwóch tysięcy. Wkrótce pojawia się jej córka i — na mrugnięcie — resztę znajduje. Mój towarzysz pracuje w Fabryce Uchwytywów. Dojeżdża do rodziców czasami nawet codziennie; pomaga przy gospodarstwie. W Kolnie mieszka na stacji. Płaci za pokój, wspólnie z trzema kolegami, cztery i pół tysiąca. Nastawiliby się tylko na dojeżdżanie, ale zimą autobus zawodzi.

— Mirek — mówi — to fajny i solidny chłopak. Jak za coś się weźmie, to dociągnie do końca. W gminie patrzą już na niego krzywym okiem. Kto w tej sprawie zawinił? Na pewno sołtys. Powinien wiedzieć, ile pieniędzy ma wieś; pojechać co pewien czas, sprawdzić,

MEANDRY DEMOKRACJI

STANISŁAW ZIELIŃSKI

MANIPULANCY

poinformować wszystkich. A on w milionach kwoty naliczał, kiedy mieliśmy już puste konto.

Mirek Wszeborowski mieszka kilka kroków za przystankiem w murowanym domu. W kuchni kobiety sumują wydatki weselne; po cichu, dyskretnie, bo i po co te ciekawostki ma dziennikarz wynosić w świat, robić sensację z ilości pitej we Wścieklicach wódki.

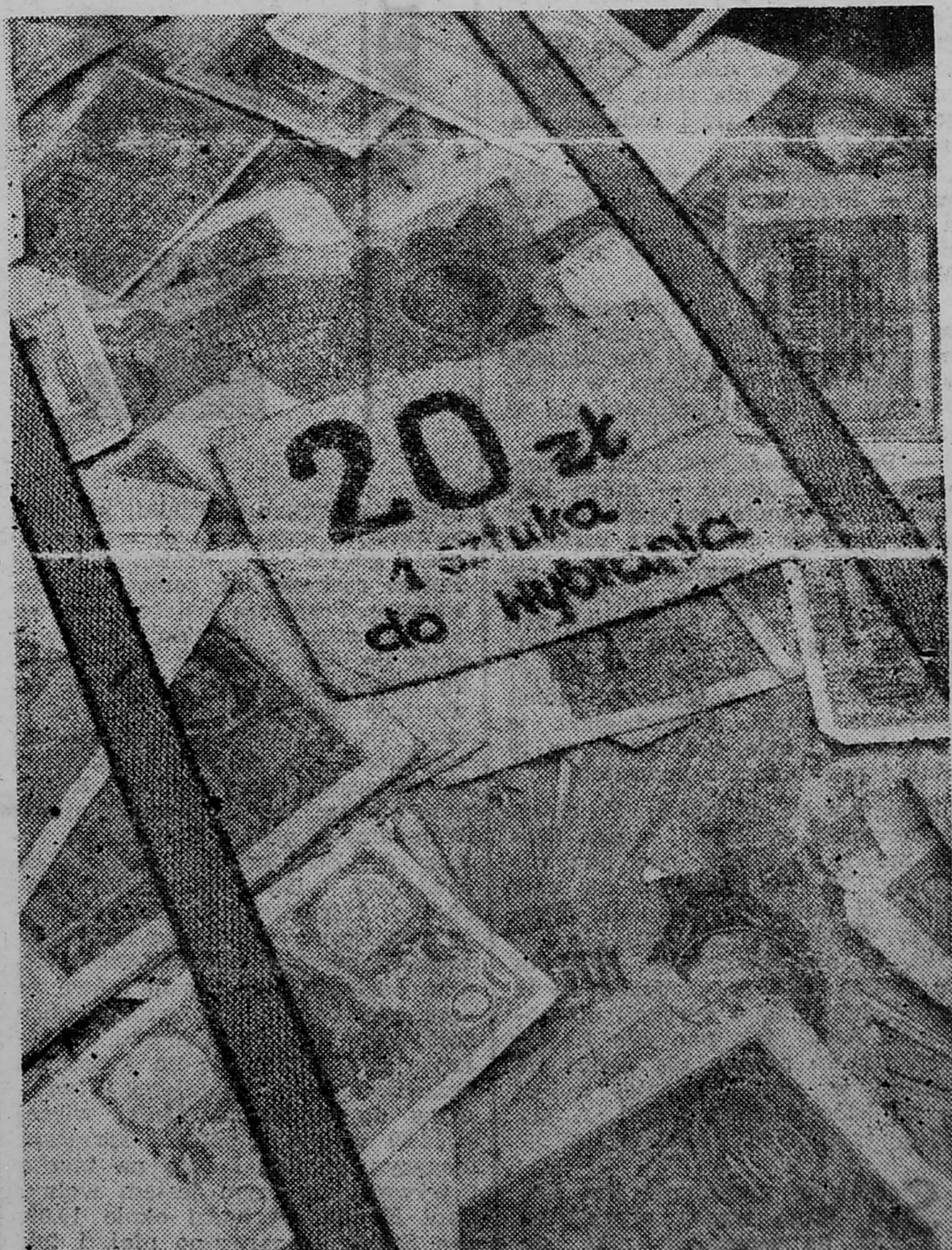
— Wieś gromadziła Fundusz Rozwoju Rolnictwa od 1976 roku — mówi Mirek. — Nie mamy żadnego klubu ani świetlicy. A przydałoby się gdzie zejść, porozmawiać o naszych, młodzieżowych sprawach. Niby cel bliski, bo wystarczy zwołać się, wyłożyć pieniądze na zakup budulca i przystąpić do pracy, lecz ile przeszkód?

Witold Kubik, radca prawny Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych, często wspominał Wścieklice, gdy z kimś rozmawiał o dziwnych nazwach łomżyńskich wsi. Nawet próbował dociekać, skąd ta pochodzi. O sprawie jednak nic nie słyszał. Czy się nią zajmie? Przecież nikt się do niego nie zwracał! Czyżby Mirkowi Wszeborowskiemu zabrakło odwagi po tym, jak mu jeden z przedstawicieli Wojewódzkiego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych powiedział wprost: „I czego ty, młody człowieku, się rzucasz. Przecież taka była wtedy ustawa i niczego nie dojdziecie. SKR miał prawo przejąć fundusz wsi, bo świadczył jej usługi”.

Kogoś z władz związkowych ruszyło jednak społecznikowskie sumienie, bo do Spółdzielni Kółek Rolniczych w Kolnie wysłały swoją przedstawicielkę, Krystynę Kierowicz, by badała w dokumentacji, czy kiedykolwiek we Wścieklicach istniało... Kółko Rolnicze. Jeśli nie znajdzie żadnego śladu takiej organizacji, będzie to dowód, SKR przywłaszczył pieniądze bezprawnie. W dokumentacji wojewódzkiej stoi, że nigdy we Wścieklicach Kółka Rolniczego nie było.

Wieś dopina sprawę na ostatni guzik i niebawem wniesie ją do Sądu. Nie zdradza jednak, który z łomżyńskich adwokatów odważył się wziąć ją w obronę. Gospodarze z sąsiednich wsi powiadają, że Wścieklice na głowę upadły i już same nie wiedzą, co czynią. Mirek Wszeborowski, główny inicjator sądowej wyprawy, niezachwianie wierzy w zwycięstwo. Jeśli je osiągnie, jego koledzy i starsi już teraz obiecują sobie wybrać go na sołtysa.

Fot. GABOR LÖRINCZY



7
KONTAKTY
20 XI 83

interwencje





Pracuje pan od 7.00 do 15.00. Spóźnień tolerować nie będę. I tak: pan będzie ze mną w zgodzie, to ja będę wobec pana w porządku, a jak wojna, to... Co tu dużo mówić, pan jest uzależniony ode mnie, a nie odwrotnie. Rozumiemy się? To fajnie. Wybiegów pan sprzątać nie będzie, najprawdopodobniej wypadnie pobiegać z miotłą po alejkach. Chyba się pan nie wstydzisz?

— A pan by się wstydział, panie kierowniku?

— Dobra, dobra. Warunki płacowe pan zna, u bhp-owca pan był, odzież zaraz wypiszę. Od jutra pan zaczyna. No, grabal

Sciskamy sobie ręce i wychodzę. Cóż, robota taka sobie. W angażu mam zapisane: „pielęgniarski zwierzak”, a tu — sprzątaczką. Zobaczmy, może podołam.

W szatni jest kilku ludzi w drelach. Siedzą przy zestawionych ławach. Po podłodze wala się papiery, kawałki szmat, błoto i gnój z wybiegów, przyniesione na gumniakach; w górze czarno od much. W kacie — zatkany zlew, z którego wionie taki odór, że krzywię się już w drzwiach. Siedzący podnoszą oczy; jeden z nich wstaje. Jest najstarszy (ok. 35 lat). Kulejąc podchodzi do mnie: — Jestem Witek, twój brygadzysta. Weź se stołek i siadaj. Teraz mamy śniadanie. A tu twoja szafka na ciuchy.

— Irek — mówię.

— Siadaj. Wyciąg żarcie i jedz — odzywa się jeden z siedzących.

— Na stałe przyszedłeś? Na miesiąc? No, to się przyzwyczaisz. Mi też śmierdziało z początku, ale co mam zrobić? Nie pójdę na dwór jeść. Ale ci kapotę dał! Sezonowym zawsze wciskają byle łach. Trza się było klócić. Za pisarza będziesz robić?

— Pisarza? — dziwię się.

— A jak! Dostaniesz pióro w łapę i będziesz wypisywał po alejkach. — Rechoczą. Ja śmieję się także.

— Aha — mówi Witek. — Do tej bardaszkii nie chodź. Woda nie ścieka. My lejemy w krzaki albo zwierzątkom za budy.

I tak dobrze, że nie do wielkiej bańki z mlekiem, stojącej w kacie. W mleku pływa kilka wielkich much.

— Kto pił mleko? — pyta Witek. — Znowu, kurwa, nie założyłeś pokrywki! Będiesz te muchy. Paszeko, wybierał i żarł, jak nie umiesz po ludzku robić.

Chłopak nazwany „Paszeko” wstaje, wyszczerza popsute zęby w nieśmiałym uśmiechu i zabiera się do łowienia much z mleka, mruczając, że nie takiego się nie stało. Drzwi od szatni otwierają się i wchodzi kierownik.

— No, panowie, do roboty — mówi. — Przerwa kończy się o 10.30, a mamy 11.00. Pan — zwraca się do mnie — niech idzie ze mną. Mam dla pana robotę.

Za budynkiem administracyjnym, w pobliżu domku dyrekcji, stoi magazyn żywnościowy. Zza barierki wystaje mały mężczyzna w niebieskim fartuchu i przelicza coś na kartce.

— Przyprowadziłem panu pomocnika, panie Staszku — mówi kierownik. — Powie mu pan, co ma robić, i niech on tu już zostanie.

Pan Staszek przygląda mi się przez chwilę, wyciąga pozbawioną kciuka rękę: — No, panie... jak pan ma na imię? No, panie Irku, widzisz pan ten burdel na górze? Pościągasz pan z tamtych półek wszystkie worki, porozdzielasz je na podarte i całe, poskładasz po 10 sztuk i poukładasz z powrotem.

Zabieram się do roboty. Po chwili kierownik wychodzi, a pan Stasiu mówi: — Niech się pan nie spieszy. To ma starczyć na cały dzień. U mnie się pan nie prze-męcz. Chyba że się panu nie podoba, to nie zatrzymuję. Palić tu nie można, dlatego chodzimy za te regały, żeby nikt z dyrekcji nie zobaczył. Aha, jak pan nie będzie miał nic do roboty, nie pchaj się ludziom w oczy. Najlepiej walnij się na którejś półce i śpij. A jak będzie trzeba, ja zawołam.

Sobota w magazynie jest łatwa. Rano trzeba przyjść na 7.30, bo wcześniej nikt się nie zjawia. Oprócz mnie i pana

SPRZĄTAŁEM ZOO

Stasia jest jeszcze magazynierką, pani Krysia. Stasiu też jest magazynierem, ale widocznie potrzebni są oboje. Dzieli się świetnie obowiązkami, tzn. mniej więcej tyle samo czasu przesładują na zaplecze. Razem z nimi, w przerwach między kursami, siedzi tam Andrzej — kierowca.

Dzień podzielony jest na kilka etapów. Pierwszy, z samego rana, polega na wydaniu jedzenia. Rozdziela się je (wg listy opracowanej przez lekarzy) na poszczególne



IRENEUSZ WÓJCICKI

działy; małpy, drapieżniki, kopytne, akwarium, kwarantanna i (oddzielnie) goryle — dostaną swoje. Potem czekamy na samochody dostawcze. Przywożą świeże warzywa, owoce, mięso. Czasem kierowcy chce się pić, dają mu więc butelkę mineralnej, a on nierzadko rewanżuje się kielonem. Taki zwyczaj. Po dostawcach zjawiają się opiekunowie z działów i zabierają to, co zostało przywiezione. Kolejnym etapem jest wydawanie mięsa. Wsiadamy z panem Stasiem na rowery (po ZOO personel porusza się rowerami, tylko dyrektor łązi piechotką) i jedziemy do chłodni. Leżą tam krowy podzielone na cztery części i serca o zielonkawobrunatnym odcieniu (pan Stasiu mówi, że serce nie bardzo zwierzątki chcą żreć, więc leżą do momentu, aż się zepsują, a potem idą na śmietnik). Dzielimy mięso, wydajemy i wracamy do magazynu. Mniej więcej o 14.00 wstają z półki i sprzątam magazyn. Śmieci ładuję na taczkę i wywożę, po czym jestem wolny. Pani Krysia wychodzi około 14.30, pan Stasiu — zaraz po niej. I tak jest codziennie.

Po trzech dniach jestem już traktowany w magazynie jak swojak. Pierwsza zademonstrowała to pani Krysia: puściła kierowcy taką wiadomość, że najlepszy szewc by się nie powstydział. Pan Stasiu wyjaśnił, że „ona tak zawsze” i żeby nie zwracał uwagi.

Codziennie rano przyjeżdża samochód z piekarni i przywozi ciepłe bułki: normalne i słodkie oraz długie — tzw. batony. Stanowią one (nie wszystkie naturalnie) wyborne śniadanko dla personelu magazynu, kierowcy i kierownika administracyjnego (jeżeli się do nas pofatyguje). W ogóle wszystko, co znajduje się w magazynie, budzi szczerą zawziętość obsługi ZOO, bo jest przeznaczone dla zwierząt.

Oboje magazynierzy dzieli się ze zwierzętami skrupulatnie: ciastkami, kompotami, owocami, pieczywem, dżemami, fasolą, groszkiem konserwowym, jajkami i warzywami. Pan Stasiu nie jest skąpy: — Bierz pan — zachęca — tylko żeby nikt nie widział.

Pani Krysia jest bardziej wybredna. Uważnie ogląda każde jajeczko, każdy owoc czy warzywo. Prawdziwą królową magazynu staje się wtedy, gdy nadchodzi cytryny. O, wtedy nie ma lekko. Nawet kierowca musi się dobrze wokół niej nachodzić, żeby zezwoliła mu wybrać pomarańczę, parę cytryn lub banana. Już ona ma swoje sposoby! Mimo iż cytryny są dokładnie liczone i sama dyrektorka bierze najwyższej trzy sztuki, Krysia wychodzi w dniu dostawy z dziwnie pękatą torbą.

Dyrektorka nie jest lubiana. Kiedy pojawia się w magazynie, żeby „rzucić okiem, czy wszystko w porządku” gonią ją nienawistne spojrzenia. Mimo to pani Krysia sama wyjmie kilka cytryn: — Proszę, pani magister. Niech pani zobaczy, jakie ładne. — A pani magister bierze i idzie oglądać do siebie.

Niedaleko bramy głównej stoi mały pawilonik, w którym znajduje się woda mineralna dla pracowników. Każdemu członkowi personelu przysługują tygodniowo pięć litrowych butelek grodzkiej. Po wodę posyła mnie pan Stasiu z wózkiem. Biorę, ile trzeba i — zgodnie z poleceniem — jeszcze trzy skrzynki do magazynu. Potem tłucze się butelki (puste, oczywiście) i narzeka na transport. Do mineralnej dodaje się soku; przy jego wydawaniu pan Stasiu jest niezwykle uważny: — Nie będziemy się klócić o 5 deka! Innym razem panu doleję. No, następny! O, za dużo. Chwileczkę, trzeba odlać. To wszystko jest wyliczone, kto potem zapłaci?

Wszystko jest rzeczywiście wyliczone. I to tak dobrze, że kilka litrów soku stoi w magazynie do „użytku wewnętrznego”.

W sezonie, kilka razy w miesiącu, przywożą ogórki, pomidory i owoce dla pracowników ZOO. Kosztuje to grosze, dlatego popyt jest wielki. Ale zanim magazyn zacznie wydawać, przeprowadzamy pewne czynności, pozwalające usprawnić całą późniejszą ceremonię.

— Panie Irku! — woła pani Krysia. — Weź pan te dwie skrzynki, siadź sobie za regałem i wybierz co ładniejsze sztuki na bok.

Wybieram więc ładniejsze sztuki, bo wiem, że są one przeznaczone dla dyrektorostwa, pani Krysi, pana Stasia, Andrzeja, znajomych i dla mnie. Potem wystawia się to, co zostało, i ludzie rzucają się na towar.

— Spokojnie, ludzie! Nie ma co się pchać! I tak wszędzie jest to samo. Nie moja wina, że pogniecione. Ja ich nie gniotłam.

Pan Stasiu ma rację: teraz rzeczywiście we wszystkich skrzynkach jest to samo. Ludzie wprawdzie wiedzą o tym, że co lepsze sztuki zostały schowane, ale nikt słowem nie wspomina. Każdy rozumie, że to zupełnie normalne. Zresztą magazynierzy naszego ZOO są fachowcami. Jak się, na przykład, nie zgadza liczba pozostałych po wydaniu jajek, pan Stasiu bierze kluczyk i idzie do kurnika, skąd przynosi brakujące jajka. Bo w ZOO hoduje się kury, a te kury znoszą jajka, których przecież nikt





Fot. GABOR LÖRINCZY

nie liczy. Jeśli nie uwinie się przy nich pan Stasiu — zabiora lekarze (stacjonują niedaleko). A jakim szczęśliwcem jest ten robotnik, któremu kierownik wyda polecenie u-przątnięcia kurzego wybiegu!

Do magazynu wbiega przerażona księgowa z okrzykiem: — Dyrektor do was idzie! — Pani Krysia jest zaniepokojona: — Kontrol czy jaka cholera? Panie Irku, łap pan miotłę. Stasiu, bierz się za tę marchewkę i segreguj. A, i pęczki policz. Andrzej, wypieprzaj stąd! Do samochodu!

Magazyn ożywa gwałtownie. Pani Krysia szybko poprawia makijaż. Wie, co robi. Nie jest brzydka (czasem staje przed brudnym lustrem nad śmierdzącą umywalką i mówi: „Stasiu! aż się oczy świecą, a pan, panie Irku, nie?”).

W chwilę później zjawia się dyrektor: — Pani Krystyno, przyjechała Telewizja; niech pani zwróci uwagę, żeby nikt w brudnych łachach nie wylaził mi przed kamery. Będziemy kręcić niedaleko, trzeba w szatni pracowniczej powiesić karteczkę. Panie Stanisławie, przybył przedstawiciel berlińskiego ZOO, ma odebrać tę zdechłą małpę. Ona chyba u pana w chłodni leży?

— Tak, tak. Zaraz po nią pojedę, oczywiście.

Dyrektor wydaje wskazówki, gdzie należy nieboszczkę dostarczyć, i wychodzi.

— Ty stary pierdole — rzuca w ślad za nim pani Krysia.

— No to, panie Irku, bierz pan wózek i skacz pan po tego małpieszona; leży w papierowym worku.

Mimo długotrwałych poszukiwań nie udaje mi się znaleźć w chłodni małpich zwłok. Informuję o tym pana Stasia. Jedziemy razem, szukamy. Pan Stasiu jest wyraźnie zmieszany: — Szlag by trafił! Przecież jej nie porabiałem.

Pani Krysia wcale się nie martwi: — To kłopot dyrekcji. Nam nie będzie, a oni dobrze wiedzą, że trupów z mięsem dla zwierząt trzymać nie wolno. Jak już byliście w tej chłodni, trzeba było mięso porabzać. Idź, Stasiu, zajmij się

tym, a pan niech zawiadomi dział, że mają mięso odebrać.

To cała pani Krysia. Zawsze znajduje wyjście z kłopotu. O panu Stasiu mówi, że jest nicponiem. Pan Staszek się śmieje, ale wie, że ona ma rację. Gdyby nie pani Krysia, już dawno by go zwolnili. Choćby wtedy, gdy przyszedł do pracy kompletnie zalany. Miał siłę dowieść się tylko do portierni, skąd zadzwonił do magazynu, że dalej iść nie może. Krysia posłała mnie tam, bo „ten stary duren” miał z sobą plombownicę, która zamierzali plombować worki. Wsiadłem na rower i przywiozłem tę plombownicę. Pani Krysia odebrała ją i powiedziała: „No, teraz Stasiu jest mój. Już mi nie podskoczy. Za to, że dzisiaj nachlany, za to, że oddał plombownicę w niepowołane — czyli moje — ręce, czeka go dyscyplinarka”. Po czym poszła do administracji i podpisała za pana Stasia listę.

Każdy piątek jest najpracowitszym dniem. Trzeba wtedy wydać jedzenie na sobotę i niedzielę, nie licząc tego, co przysługuje na dzień bieżący. I dostawy

są odpowiednio większe. Na szczęście pan Stasiu stwierdził, że w trójkę będzie nam w pracy za ciasno. więc postanowił wysłać mnie po gazety. Zajmuje mi to dobre trzy godziny, ale mojej nieobecności jakos nikt nie zauważa. Kiedy wracam z gazetami, praca ustaje. Magazynierzy biorą gazetki, zaparzają świeżą herbatę i oddają się lekturze. Co pewien czas pani Krysia pyta pana Stasia o jakieś hasło w krzyżówce i po chwili kwituje jego odpowiedź stwierdzeniem: — Głupi ty, Stasiu, jesteś. Jak but dumny!

Kiedy pan Stasiu jest dobrze zezłuszczony zabiera się z zaplecza i przychodzi do mnie. Siada na brzegu mojej półki, otwiera gazetę i czyta. Ręka sięga to po ciastko, to po bułeczkę, to po słoik dobrego kompotu.

— Panie Stasiu, przecież to jest dla zwierząt — podpuszczam go.

— No, i co z tego, że dla zwierząt? A ja to co? Żeby byle bydle lepiej żarło ode mnie! Takie małpy dostają same frykasy. Czy u pana w domu tak się je?

— No, nie. Ale mnie nikt w klatce nie trzyma...

— Jak człowieka zamkną do klatki, to żyje na chlebie i wodzie. A tu nawet tygrysom marchewkę dają! Czy w Afryce rośnie marchewka? To od tego dobrobytu zwierzątki zdychają. Przecież w naturze żadne skądinąd bułki do mordy by nie wzięło, a tu nazwę się byle główna i zdycha!

— Ze starości zdychają.

— Ze starości? Z przeżarcia zdychają. Pan myśli, że tu się ktoś cacka? Jak był ten Niemiec po małpę, której w chłodni nie mogliśmy znaleźć, to coś się stało? Nic, bo w następnym tygodniu dwie takie zdechły, jeszcze lepsze nawet. I zawieźli je do Berlina, jeszcze dyrektor miał wycieczkę. Spytał pan Krysi, czy jej krew nie zalewa na widok goryla żrącego pomarańczę. Jak jej córa raz na 5 lat takie cudo widzi.

— Chyba trochę częściej.

— Bo ma matkę zaradną! W sklepie nie kupi, a dzieciak potrzebuje. Ostatecznie nie jest gorsze od pawiana! Pamiętam, kiedyś małpa rozorała szyję praktykantce. Bo ta, głupia, się z nią bawiła. A wiesz pan, ile na jednym pazurze jest bakterii w takim brudzie i smrodzie?

Nie brud i smród są w Ogrodzie najgroźniejsze, ale lekkomyślność młodych ludzi (w tym także studentów weterynarii), którzy bez troski traktują swoje obowiązki, za to nazbyt poufale — zwierzęta. Kiedyś pomagałem w słoniarni w wyładowywaniu chleba. Wielka słonica indyjska nie zdradzała żadnego zainteresowania nami, dopóki nie zauważyła w koszach bochenków. Wówczas wychyliła się jak najdalej i usiłowała porwać jeden z nich. Jej opiekun odsunął kosz i chciał pójść po następny, gdy tymczasem zwierzę wymierzyło mu potężny cios trąbą w plecy, aż chłopakowi w płucach zagrało. Skończyło się tylko na mictle, która słoniarz polamał na rzabie swoje pupilki. Mniej szczęścia miała dziewczyna w klatce pawianów. Kiedy myła przęty — ktoś wpuścił zwierzęta. Ze strachu spadła z samego szczytu i złamała obie nogi.

— Ale tobie, Stasiu, nawet tygrys nie nie robi — żartuje pani Krysia.

— Ani tygrys, ani żaden inny zwierzątko, bo ja do nich nie lezę. Wystarczy mi ty, czołowa pantera w ZOO.

Wostatnim dniu mojej pracy pani Krysia jest wzruszona:

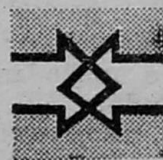
— Był pan cudowny, panie Irku! — Pan Stasiu spogląda spod łba i czeka: wyciągnę połówkę czy nie? W milczeniu podaje mi rękę.

— W szatni — jak zwykle — wesoło.

— No i co, magazynier, dostałeś co na odchodne?

Ano: zaproszenie do powrotu za rok, porozumiewawczy uśmiech pani Krysi i koleżeńską radę od Witka: — Nie bądź frajer. — Idę to wszystko spakować.

spiecia



Genialny Archimedes Kaziuk, występujący w „Kurierze Podlaskim” pod skromnym pseudonimem „sak”, ponownie publicznie wynarzył się z wody i gdy już wszystkim się zdawało, że na zawsze zawałdął nim żal z powodu braku możliwości powrotu do hal, przeczytał w „Kontaktach”: „Ej, wy, ludzie, tym trafem głów (se — por. opus cit.) nie psujcie. Powiem wam wprost: to był normalny traf. Ee... ludzie, ludzie — wy co? Sami nigdy nie wycinacie kogutków?” i — bezlitośnie obnażając nieuctwo zadufanych Dialektologów oraz Etnografów — odkrył: „Góralczyzna na Kurpiowszczyźnie”. Już na wydechu skompromitował natomiast Gramatyków słynnej Szkoły Podstawowej ujawnieniem obecności w badanym fragmencie imiesłowów. Róbta tak daly, A.K. Nagroda — prawdziwy redyk — już blisko!

Oto rachunek wystawiony przez Komunalną Rozlewnię Gazu Płynnego „Korgaz 4” w Łomży: „1. Remont butli turystycznej 2 kg, szt. 1 — 104 zł; 2. Uszczelka gumowa, szt. 1 — 1,80 zł; — — — 0,20 zł. Słownie: sto sześć złotych”. Remont polega na założeniu uszczelki za złotych jeden osiemdziesiąt groszy przez wykręcenie jednym ruchem i zakręcenie jednym ruchem w stronę przeciwną zaworu. Wartość pracy łomżyńskiego fachmana w porównaniu z wartością zużytego materiału stawia go na równi z fachmanem od zegarków z Zurichu. A więc po II Polsce, II Japonii — II Szwajcarii?

Kolno nie ma ani jednego zarejestrowanego wozaka. Nie brakuje mu natomiast „dzikich”, którzy, nie nekani przez podatki, biorą od pięciuset do siedmiuset złotych od tony przewiezionego węgla. Cóż, Polski Monopol Spirytusowy bez wszechstronnej analizy skutków podnosi ceny obroku, a ludzie płacą jak za suchy chleb dla konia.

„Może redakcja będzie mogła mi poradzić, co zrobić: od ośmiu tygodni co czwartek przyjeżdża fachowiec z ZURT-u, pogrzebie, wypisze niemały rachunek, odjeżdża, a w telewizorze po chwili rozlega się trzask i znowu szlag go trafia”. Dla nas to doprawdy pestka, więc radzimy: mimo wszystko nie wychodzić na spacer w porze dziennika. Wieczorowa pora to czas pracowitych brunetów. Cyganka resztę dopowie.

Ruszyliśmy na spóźnione grzyby: z kumplami, autokarami, flaszkami, samochodami, z pustymi koszami, pełnym chamstwem. My wшыscy — bo diabli ustają, kto konkretnie. Chyba że wnerwią się tak, jak na widok LON 0265 i LOM 5560 parkujących wprost w szkółce przy drodze na Jurzec, i zechce im się fatygować pamięć, by interwiniować u nas. A nam to wisi, jak Lidze Ochrony Przyrody obowiązane drutem drzewa przy ul. Świerczewskiego w Łomży, o których bez skutku pisaliśmy: nie będzie nas — na co nam las?

Prezydium Zjazdu Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Łomży tworzyło piętnastu prominentów. Statut Towarzystwa mówi, że gremium to wyląniać ma Zjazd spośród delegatów drogą głosowania. Tak, tak, mędrco, powtórzę: „Amnezja jest chorobą nagminną najczęściej doświadczonych narodów”. Co z tego, że to prawda, skoro wszyscy wiedzą, iż po drabinie najłatwiej piąć się na czworakach?



ŻYCIE TOWARZYSKIE

Któregoś popołudnia nie miałem nic do roboty, poszedłem więc do parku miejskiego. Zastanawiałem się, czy wyłączenie męskie, ubrane może nie wytworzyć, lecz zgodnie z zaleceniami „Przekroju” a rozbrykane niczym młodzieńszaki na wagarach. Do myślenia się z łatwością, że to wcześniejsi emeryci, zażywający zasłużonego wypoczynku po trudach dnia spędzonego w kolejkach i na bazarze. Wzdłuż alejek, pod żółknącymi koronami drzew, niesły się ich beztroskie śmiechy. Grali przeważnie w oku pobrękując monetami lub dyskutowali z przejęciem, jak pogorszyć sytuację ekonomiczną.

Poczułem się jak intruz i już chciałem zawrócić, kiedy obok fontanny, nieczynnej przejściowo z braku wsadu, mignął mi znajomy cień. Czyżby pan Maurycy? Przyspieszyłem kroku, tymczasem znajoma sylwetka gdzieś się zapodziała. Po dłuższej dopiero chwili spostrzegłem pana Maurycygo, wciśniętego na ławeczce między rozszczębiotanych emerytów. Leżał niczym sutorowce wtórne w punkcie skupu, aż przeraziłem się, że chory.

— Zostaw mnie pan w spokoju — powiedział z wysiłkiem, gdy ująłem go za ramię.

Emeryci przycichli, popatrzyli na mnie z niedowierzaniem. Nie mieli jeszcze pewności, czy jestem jednym z owych rozbieraczy, o których czyta się w gazetach. Otakowawszy mnie i pana Maurycygo, doszli jednak do wniosku, że ani beret z „antenką”, ani ortalion z uroczystych obchodów Millennium, ani nawet przydziałowe skarpety nieokreślonego koloru nie mogą być przedmiotem łupu, zwłaszcza w biały dzień, kiedy trudno się pomylić, toteż nie podnosili rabanu. Nie nastawiałem zresztą na pana Maurycygo; puściwszy jego ramię, zabierałem się do odeszcia. Wówczas on dzwignął się z ławki i, mamrocząc niezrozumiale pod no-

sem, otrząsał ortalion na rozdzielonych emerytów.

— Przeszkodziłem panu w sjęście, przepraszam — bąknąłem niepewnie.

On na to: — Pan wybacz, chwila słabości.

— Właśnie pomyślałem, że coś panu dolega.

Rzeczywiście, wyglądał kiepsko. Oczy przekrwione, wokół brązowe plamy i szczecina.

— Ależ skąd — zirytował się. — Świeże powietrze mnie rozkleiło, ot i wszystko. Pomyślałem: można by wyciągnąć się na słońcu i poleżakować.

— Przecież październik.

— No właśnie, chwilowa słabość. Nie każdy, proszę pana, może sobie pozwolić na wczasy. Skutek tego taki, że organizm domaga się odtrucia. Nieraz podstępnie.

— Pracuje pan obecnie przy chemikaliach?

— Na pierwszą zmianę chodzę do „Fadomu”, na noc zaś do kotłowni. Nie tylko w chemii brak pracowników, chyba pan słyszał; jednym potrzeba mieszkań, drugim, jak już mają dach nad głową, chce się ogrzewania. I nie w jednej tylko branży śmierdzi, tymczasem pozostaje ledwie parę godzin, żeby coś zrobić do jedzenia i przedrzeć się; na inne sprawy nie wystarcza już czasu. Jakbym — nie daj, Boże! — przysnął na ławce, nie zdążyłbym kupić chleba i sera, a w nocy źle się robi na głodniaka.

— Na dwóch etatach to pan nieźle forszę musi garnąć — powiedziałem bez należytego zastanowienia.

— Człowieku, co pan mówi?! — rozsierdził się pan Maurycy. — Czy pan wie, ile trzeba pracować na jednego dolara? Nie ma chyba mniej stabilnej waluty niż amerykańska.

pan Maurycy zażywa swobody

Czytałem to i owo w gazetach, jednak zdziwiłem się.

— Przed trzema laty, kiedy zaczynałem zbierać na spłatę długów zagranicznych, dolary były jeszcze po sto pięćdziesiąt. Za miesięczne pobory mogłem kupić czterdzieści, a z premią nawet o dwa, trzy więcej. Niech pan pomyśli, ile miałbym dzisiaj za jedną pensję! Bez podwójnych poborów nie dałbym rady wyjść z kryzysu w terminie.

— To znaczy do kiedy?

— Pan nie wie? Do końca 1985 roku.

Już miałem rzec złośliwie, że to sporo czasu, zaś po chwili zachciało mi się spytać, czy nie będzie mu głupio, gdy okaże się, że wyszedł w pojedynkę. Powstrzymałem się jednak, na szczęście.

— Głupi byłem, proszę pana, że od razu nie wziąłem się za drugi etat. Byłbym już prawie wypłacony, a tak?

— Wszystko, co pan powiedział, nie znaczy jeszcze, że dolar jest niestabilny — nie upilnowałem jęzora.

— Chce pan powiedzieć, że pracuję gorzej niż przed trzema laty? Mniej wydajnie, czy tak? — natarł na mnie z furją. — Gorzej dwa razy? A może jestem piernik, nie mam sił do pracy?

Musiałem się jakoś ratować.

— Przyzna pan jednak, że w naszym kraju wahnięcia koniunktury są rzadkie — zacząłem niepewnie.

— Przecież od wczesnej wiosny poczynając kurs dolara ustabilizował się na pięciuset. W innych krajach drgało to w górę, to w dół, a u nas spokój, równowaga. We Francji na przykład dolar przekroczył w lecie psychologiczną barierę ośmiu franków i wynosił nawet osiem przecinek sześć.

— Idź pan do diabła z przecinkami! U nas jak przekroczył psychologiczną barierę, to od razu zadano pięćset pięćdziesiąt, a po trzech dniach sześćset. Czy można mieć do takiej waluty zaufanie?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Machnąłbym ręką na wszelkie kursy, niech się kapitaliści martwią, jak je ratować. Nikt jednak nie zapłaci mojej doli w bankach zachodnich, a do tego proszę pana, dolary są nieodzowne. Bankierzy, choć pewnie światowcy, nie wiedzą nie tylko, kto to Waryński i Świerczewski, ale nawet Kościuszko, Kopernik czy Chopin na naszych banknotach. Dla nich nie ma znaczenia, ile się trzeba natrąć na wizerunek kogoś, kto nie był prezydentem USA.

Tratując liście szliśmy coraz wolniej.

— Jedyną pociechę znajduję w tym, że w każdym innym kraju byłoby mi jeszcze trudniej odłożyć coś na spłatę.

— Dlaczego? — nie wytrzymałem po raz drugi.

— Niech pan pomyśli: za dwadzieścia dolarów tylko w Polsce można przeżyć cały miesiąc, a jeśli ktoś żywi się jak ja i nie ma rodziny, to potrafi jeszcze odłożyć. W innym kraju figę bym z tego zaoszczędził; moje pobory, nawet za dwa etaty, wystarczyłyby na kilka przejazdów autobusem. Chwała Bogu, jest u nas niewyobrażalna taniocha.

Zbliżaliśmy się do wyjścia z parku. Zastanowiło mnie, że wcześniejsi emeryci, do niedawna hałaśliwi, gapią się na nas w milczeniu ze swych ławek.

JAN KWASOWSKI

Zjazd Towarzystwa Przyjaciół Bobra. 300 delegatów stłoczonych w sali niczym sardynki w puszcze. Bransoletki, kołczyki, wisiorki, zapach perfum, odświeżające garnitury. Uroczyste i towarzyskie. Słońce szaleje za oknem. Cudowny, jesienny dzień. Kto ma widok na gołą ścianę wystawia plecy. Przewodniczący obrad pyta o rodzaj głosowania: tajne czy jawne. — Jawne! — rozlega się gromkie ze wszystkich stron. — Będzie szybko — dodają niektórzy, ukryci za plecami sąsiadów. Referat sprawozdawczy. Do uszu „zastuchanych” delegatów dobiegają strzępy zdań: „...przysiężną strefę jeziora stanowią rozległe płycizny uniemożliwiające zasiedlenie terenu bobrami”. W atmosferę tej smutnej perspektywy wdzierają się szept: — Zadzwoń do mnie jutro. Złatwię ci, tylko wiesz, trzeba dać facetowi w łapę...

sztuczny domek na sztucznym stawie

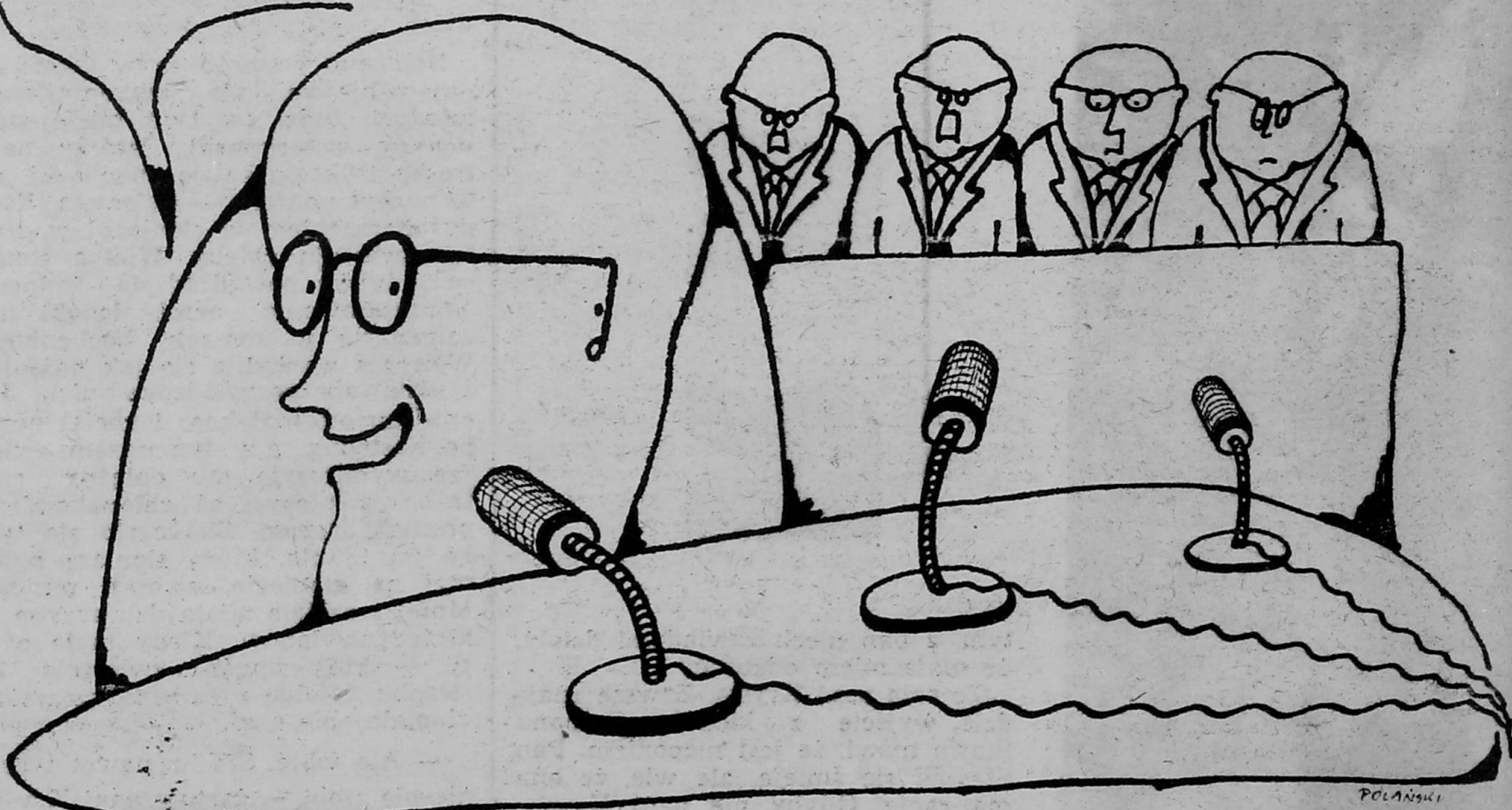
— Pół kilo maki i 4 żółtka, resztę zmiksować.

— Ty, co to może być pionowo? Zaczyna się na „a” i kończy na „a”.

Członkowie nie mniej licznej organizacji (o nie mniej świetlanych celach) w pocie czoła rozwiązują krzyżówkę z „Gazety Współczesnej”. Jest jeszcze o najbliższym obozie, szkoleniu, nowym samochodzie, działce, telefonie do Joasi. Czas ciągnie się niczym włoski makaron. — Bobry bardzo niechętnie zmieniają swoje stanowiska — leci gdzieś pod sufit.

— Ja zawsze siadam na końcu. Święty spokój. Wyjść łatwiej — pada dobra rada i zaraz dla przykładu pokazuje się kolede, jak to wygląda w praktyce. Przerwa. — Nareszcie. — W kuluarach dyskusja: o warunkach siedliskowych, perspektywach rozwoju populacji i czynnikach hamujących jej rozwój. Rzeczowa, z konkretnymi rozwiązaniami. Dlaczego tylko tu? Grupka „zmęczonych” delegatów zbiega do szatni.

1 NA TYM KOŃCZYMY KOLEJNĄ DYSKUSJĘ
Z CYKLU „NASZE SPRAWY”. DZIĘKUJEMY ZA UWAGĘ.



Koniec przerwy. Pierwsze rzędy świecą pustkami. Dyskusja: o aktualnym stanie rezerwatu, losach pewnej bobrzej rodziny, zwyczajach zwierząt z gatunku brunatnych i czarnych. Oklaski. Ręce odrywają się od pracowicie rysowanych kwiatków, ptaszków, esów-floresów i nagłówka „Kochana Zosiu!” Ktoś chrupie kruche ciasteczka, śmieje się z dowcipu. Lekki szmerek. Coraz częściej skrzypią boczne drzwi. Między południe. Bobrze sprawy interesują już tylko nielicznych. Głosy w dyskusji dotyczą ważnych tematów, lecz na sali dominują ważniejsze: jesiennie prace na działce, podarte spodnie Michasia, naręczony Madzi, fryzjer, bóle w dołku, namożone pranie, świnią Kowalski. Wśród notesów i notesików ukryta tu i ówdzie powieść detektywistyczna. Przerwa. I znowu jakby nieco

luźniej. Moment głosowania. Jedyne kandydat zaakceptowany jednogłośnie na przewodniczącego Towarzystwa.

— Co mu z tego przyjdzie? Uszarpię się i nie dla siebie — martwi się, podnosząc głowę znad krzyżówki, młodzieniec w szarym garniturze.

— Która godzina? — pyta kolega. — Idę, nie mam dzisiaj czasu.

Uchwała. Zjazd „zobowiązuje” Zarząd do „obsadzenia brzegów rzek gatunkami liściastymi, ulubionymi przez bobry (szczególnie wierzbami)” i „budowania sztucznych domków na sztucznym stawie”, „poleca”, „ma nadzieję”, „dąży”, „pragnie”, „stawia za cel”. Jeszcze tylko nagrody dla tych, którzy tworzyli Towarzystwo od postaw.

— Jemu? Za co? — wątpliwości

pobudzają niektórych do refleksji.

— A ta najwięcej się napracowała! — rozczarowanie. Kolejka w szatni. Opustoszała sala.

Zjazd Towarzystwa Przyjaciół Bobra zakończył obrady. Uczestnicy dyskutowali, tworzyli „konferencyjne” arcydzieła, reprezentując interesy bobra europejskiego na szerszym forum.

Delegatów — którzy nie wiedzą, co znaczy Castor fiber — odsyłam do encyklopedii, a rozwiązującym krzyżówkę podpowiadam, że hasłem zaczynającym i kończącym się na „a” jest „aktywista”. I mam pozostawioną nadzieję, że nasz wspólny dom w ich działaniach nie stanie się sztucznym domkiem na sztucznym stawie.

GABRIELA SZCZESNA

Rys. Marka Polańskiego



Kiedy epizodycznie urzędniczył w łomżyńskiej kulturze pod koniec lat siedemdziesiątych, w literackim osamotnieniu szukać zacząłem kontaktów z nieprofesjonalnymi literatami, nazywanymi — z anachronicznego przyzwyczajenia — twórcami ludowymi. Osoby dwóch poetów zaznaczyły się najsilniej w mojej pamięci: Jana Gietka i Franciszka Święckiego. Obaj, choć „ostepiacy” (jeden kurpiowskiej Puszczy Zielonej, drugi — podlaskich równin), niezawodnie stawali się na spotkania klubu literackiego, który — z braku miejskiej i wiejskiej młodzieży literackiej — stał się agendą Stowarzyszenia Twórców Ludowych, przeżywającego wówczas kryzys po „rozborze” Białostocczyzny w 1975 roku.

Nic więc dziwnego, że właśnie ich twórczość, a nie Stefania Matysiewicz, Ireny Radzio czy — bardziej znanych — Zofii Kumelskiej i niezjącego Piotra Rachubki, znalazła się w planach wydawniczych Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, kiedy jej działalność postanowiono poszerzyć o edytorstwo. Nawiasem dodam, że jest to, szczególnie w sytuacji miejscowej, rzecz jak najbardziej pożądana, a prowadzona konsekwentnie i na dobrym poziomie — niezastąpiona w kultywowaniu amatorskiej twórczości literackiej, w przecieraniu dla niej dróg do ogólnopolskich wydawców i czytelników.

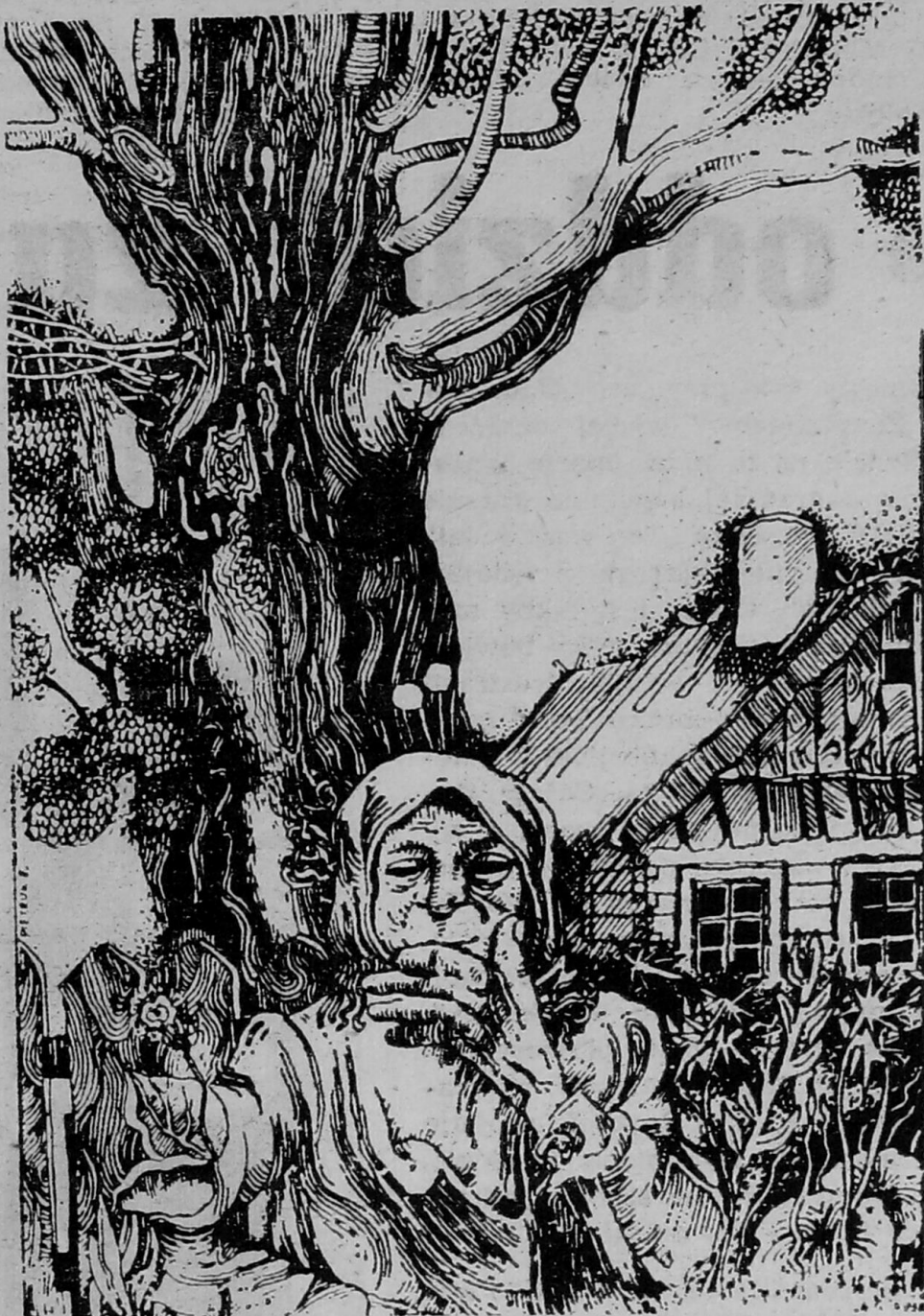
Przed rokiem ukazała się „Pieśń o pieśni” Franciszka Święckiego, debiut książkowy ponad siedemdziesięcioletniego poety z Wólki Dużej koło Wysokiego Mazowieckiego. Pisał o tym na łamach „Kontaktów” jeden z redaktorów tomu, Józef Pałka, ponieważ jednak zdarzyła się rzecz nieczęsto trafiająca się nawet profesjonalnym poetom — wyszło drugie wydanie wierszy Święckiego — warto raz jeszcze zajrzeć do tej książeczki.

Dwie natury walczą w Święckim: samorodna skłonność do poezjowania (nie może się bez tego obejść, jak inni bez pośpiewiania czy obracania czegoś w palcach, majsterkowania) i literackość, wyczytana w ukończonych poetach, wyuczona w klasach przedwojennego (nie ukończonego z biedą) gimnazjum.

Już to zmaganie warte jest śledzenia, dlatego szkoda, że drugie wydanie „Pieśni o pieśni” jest jedynie kalką pierwszego; podwójna objętość dałaby możliwość lepszego poznania bogatej i oryginalnej wyobraźni o-

Takie było zaczęcie
Taki pierwszy kształt pieśni,
Lecz kto dał jej poczęcie?
Kto mu dał myśl wcześniej?
On się pieśni tej uczył
W przyrodzenia harmonii.

Z piersi pastuszka



• Książkę opracował technicznie Władysław Pleturk.

raz zdolności naśladowczych Święckiego. Tym bardziej że w pojedynku tym wygrywa poeta-pieśniarz wiejski już od wiersza tytułowego, w którym pisze:

Wyleciała najpierwej
Z hożej piersi pastuszka
I leciała bez przerwy
Z serduszka do serduszka. [...]

Wiatr, co w górze gdzieś huczy,
Kiedy stado chmur goni [...].

Obserwując obłoki,
Przysłuchując się dźwiękom,
Poznał życia urok:
Radość, Dobro i Piękno.

Więc gdy taka ponała
Pastuszkowi gra w duszy,

Zaczął niby ptaszęta
Spiewać sobie wśród guszy.

I powoli, powoli,
Nowa piosenka wskrzeszenie
Nieopodal na roli.
Tak powstały dwie pieśni.

W pieśni tej zapisał Święcki swój „przepis” na poezję i na życie. Wiara, przekonanie o konieczności obowiązywania praw fundamentalnych, o nieodzowności klarownego łączenia dobra i piękna, a także świadomość istnienia zła nie jako braku dobra jedynie, ale czynnika aktywnego, rodzącego się z obecności człowieka na ziemi — tworzą specyficzną aurę tej poezji. Nie brak w niej momentów czystej liryki, jak w wierszu „Cud”:

Na mojej ziemi stał się cud:
wczoraj tu było rumowisko grud,
i gruby śnieg leżał,
i ostry wiatr szalał.
Ani śladu rośliny —
letarg czy śmierć?
Dziś zieleni pachnie świeża,
ramną się rosą pości.
I kwiat ocalał,
i pączek wyjrzał ze zmarzliny,
wyjrzał i pękł, i okłócił oczy
bogactwem barw swych.
Cud spełnił się tej nocy,
kwiat ożył z martwych.

Obrazu dopełniają wiersze okolicznościowe, pisane na zamówienie (często odgadywane jedynie przez poetę, jak w tych o szkole), a także fraszki i satyry:

KŁOPOT PRZEWODNICZĄCEGO

Wielki ma kłopot zacna głowa
Gromadzkiej rady. — Niechaj
skonom!
Opornie idzie szkół budowa,
Z budową baru łatwiej szło nam.

GLUCHOTA

I głuchota ma czasem swoje
dobre strony —
Nie słyszę ludzkich plotek
i gderania żony.

Wyglądzone sonety, powieść historyczna wierszem — wydają się przy tych wierszach zbędne. A jeśli są, to niby kwiat przy kożuchu: aby lepiej prezentował się ten ostatni.

HENRYK GAŁA

11
KONTAKTY
20 XI 83

prezentacje

Ordynat Michorowski

Helena Mniszek

27

XXXIX

Księżna Podhorecka patrzyła z żalem na żalobną twarz Luci. Staruszka rozumiała wszystko. Nie uszło jej uwagi wzruszenie baronówny przy odczytywaniu każdego listu Waldemara, przy każdej o nim wzmiance. Milczały obie; jedna nie wyjawiała swych uczuć, druga swych pragnień. Księżna życzyła sobie małżeństwa wnuka z Lucią, nie dla partii, lecz chciała nareszcie widzieć go szczęśliwym. Dawne marzenia świetnego ożenku dla ordynata przestały już nurtować staruszkę.

Ale teraz Lucja niepokoiła księżnę. Smutek osiadł na rysach dziewczyny, lecz zbudziła się w niej ironia i jakaś zawziętość względem Waldemara. Nie chciała teraz o nim słuchać, nie czytała jego listów. W błękitnych oczach dziewczyny błyskał chłód metaliczny, stała się sztywna, dumna. Księżna pewnego dnia wrześnie się złościła, gdy oznajmiono Luci, że w salonie czeka Brochwicz. Baronówna złożyła książkę, którą czytała głośno, zaśmiała się przykrym chichotem i rzekła nerwowo:

— Prosiłabym babcię o błogosławieństwo, gdyby... gdyby to nie było szczytem komedii.

Wybiegła z pokoju.

Rozmowa z Jerzym ułożyła się od razu, bez wstępów.

— Pan chciał się ze mną pożegnać, więc pan wyjeżdża? — spytała Lucja po przywitaniu.

Brochwicz był jak martwy, obszyty w sztuczną obojętność.

— Tak, jadę jutro rano.

— Dokąd? Bo przecie nie na zdobycie bieguna?

Zmarszczył się, usta mu drgnęły.

— Czy nie lepszego nie ma mi pani do powiedzenia?

— Owszem, jeszcze coś — odrzekła Lucja innym tonem i usiadła na pluszowej kanapie.

Hrabia stał przy oknie, skrzyżował ramiona na piersiach i patrzył na nią takim wzrokiem, jakby oczekiwał nowego szyderstwa.

Baronówna chwilę zmagala się z sobą, po czym śmiało podniosła głowę.

— Czy pan mnie stale kocha? — wypłynął cichy szept z jej ust.

Jerzy oburzył się.

— Pani wie o tym najlepiej!

— No, a ta wenecjanka? Ta, która usiadła pana na lagunach?

Głos Luci trochę syczał.

Brochwicz nie poruszył się, tylko ogień czerwony przefrunął przez jego twarz.

— Więc pani o tym wie? Więc panią to interesowało, może niepokoiło?

Ożywił się nagle, głos jego stał się cieplejszy.

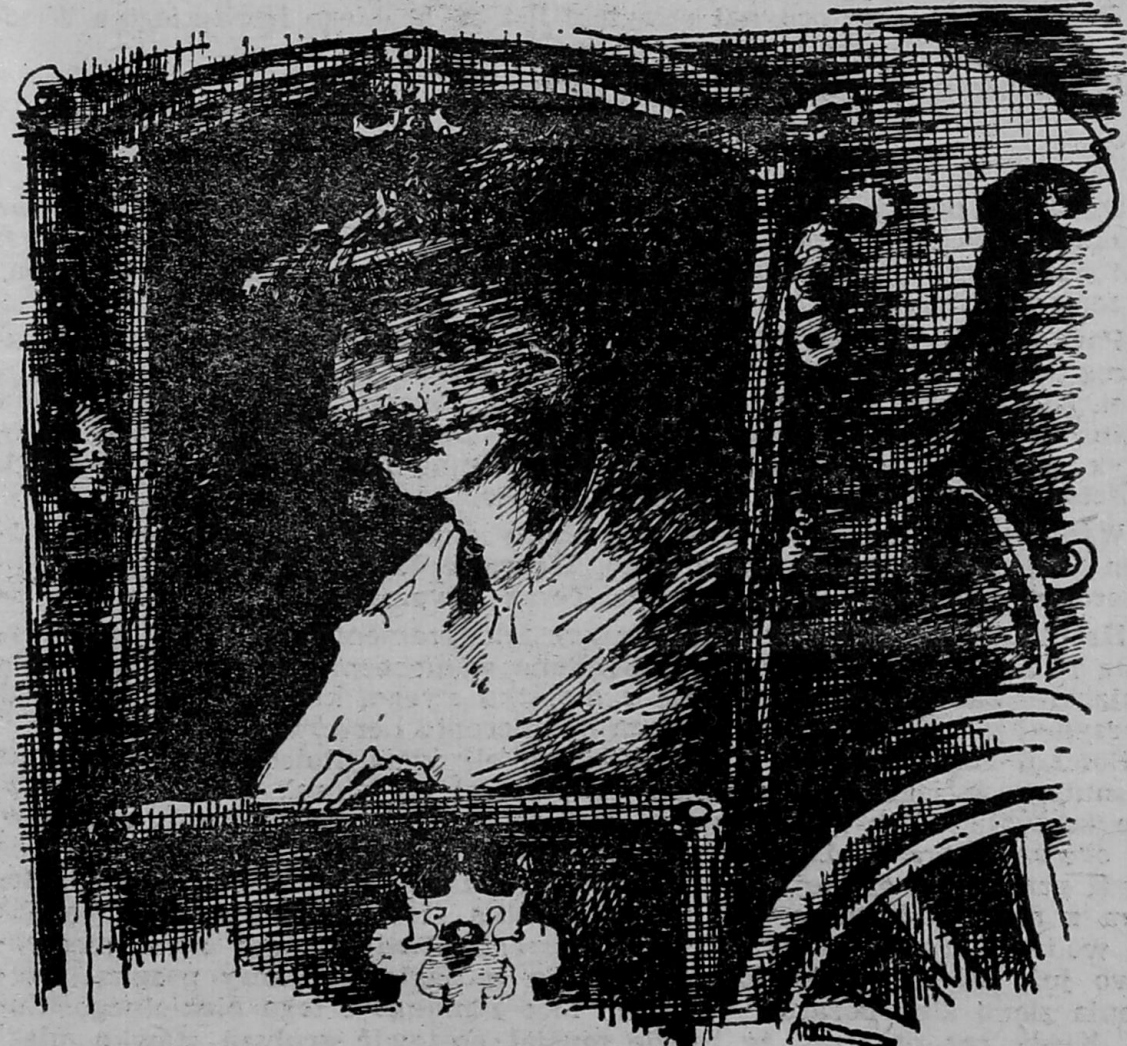
Lucja odparła obojętnie.

— Wiedziałam, bo zbyt głośno szeptało o tym w buduarach, interesowałam się zaś o tyle, że sądziłam, iż pan uleczony.

— A czy pani wie, dlaczego tamta mnie porywała? Dlaczego mdlałam w jej uścisku, dlaczego... szalałam?

— Ach! Nie badam psychologii pańskich namiętności.

— 105 —



Ujrzał raz w powozie dworskim młodą osobę w ciemnym kostiumie i w dużym, czarnym kapeluszu. Zrobiła na nim dziwnie miłe wrażenie; przypomniała dobre chwile, ściśle spojone z Głębowiczami.

— Ach, tak! Lucja! Bajecznie do Luci podobna — rzekł głośno z uśmiechem.

Wskazał powóz Szoetenyemu pytając, kto w nim jedzie.

— Arcyksiężniczka Maria Beatrycze — odrzekł hrabia.

— Jaka ona śliczna!

Elmer uśmiechnął się.

— Aż śliczna? To za wiele. Jest przystojna i bardzo wdzięczna. Zawsze poważna, trochę posagowa. (Cdn.)

— 108 —

w kręgu rocka

● Niezwykłą popularność wśród czytelników pisma „New Musical Express” cieszą się zespoły: „UB 40” z nagraniem „Red, Red Wine”, oraz „Madness” z utworem „Wings Of A Dore”. Na temat wydania tych piosenek na płytach pertraktuje „Tonpress”. Prawdopodobnie ukażą się one w przyszłym roku — czyli jak zwykle kilkanaście miesięcy za późno.

● Ziemowit Kosmowski — leader ex-zespołu „Brak”, utworzył nową formację pod nazwą „Club”. Obok wspomnianego w skład grupy wchodzi: Kamil Biłski — grający na saksofonie, Andrzej Stańczak — gitara i Bogdan Banasiak — perkusja.

● Debiutancką dużą płytę przygotowuje Martyna Jakubowicz. Wśród nagrań znajdują się utwory znane już z radiowej anteny, jak również premierowe, w których na harmonijce ustnej towarzyszył jej Ryszard Skibiński.

ROCK PO POLSKU

Grupa nie ma wielkiego szczęścia do przebojów, może dlatego, że grane przez nich utwory są takie same; mało zróżnicowane rytmicznie, traktują o sprawach, które dawno już odkryto i wyśpiewano.

Zespół liczy sobie 3 lata, a karierę rozpoczynał w warszawskich klubach studenckich w czasach, gdy zapotrzebowanie na muzykę spod znaku polskiego rocka było tak wielkie, że przyjmowano wszystko nie rozróżniając, co jest dobre, a co złe. Na fali tej muzycznej eksplozji uczestniczyli w warszawskim „Sabator '80” i festiwalu „New Wave” w Kołobrzegu. Grupa przyjechała również na białostocką „Jesień z bluesem”, był to jednak jej pierwszy i ostatni występ na tej liczącej się imprezie. „Oddział” nie pasował do panującej tu atmosfery i niknął wśród gwiazd polskiego bluesa. Na-

stępny rok nie należał do udanych. Rozłam, jaki zaistniał, postawił pod znakiem zapytania dalsze istnienie kapeli, bowiem trzech muzyków rozpoczęło współpracę z Piotrem Budelskim i zespołem „Pastor Gang”, szukając szczęścia i drogi do łatwej kariery. Nie znaleźli tam jednak ani satysfakcji, ani innych splendorów, na które łasił się młodzi muzycy rockowi.

oddział zamknięty

Ubiegły rok przyniósł „Oddziałowi Zamkniętemu” więcej szczęścia. Wpłynęło na to m.in. uparte lansowanie nagrań tej kapeli na antenie „Trójki”. Piosenka „Ten wasz świat” stała się autentycznym przebojem „małolatów”. Utwór jest jakby muzycznym credo grupy, mówi bowiem o bezsensownym, pełnym frustracji życiu młodości, braku porozumienia ze starszym pokoleniem i o negacji zastanego świata. Coś w stylu: Oto jesteśmy zbuntowani, a wy ramole i wapniaki podziwiacie nas! Zresztą brak jakiegokolwiek filozofii, w tym, co robią nasi rockowi idole, to zarzut dotyczący nie tylko formacji pod nazwą „Oddział Zamknięty”. Bardzo często pod płaszczykiem wzniosłych haseł i frazesów, mieszając wiele zjawisk i pojęć, próbuje się lansować wydumaną ideologię, która przemienia tak szybko, jak robiący już bokami polski rock.

Repertuar „Oddziału” oscyluje wokół tematyki chorób psychicznych spowodowanych błyskawicznym rozwojem cywilizacji (stąd nazwa zespołu), braku wiary w zmiany, ideały, miłość, która jest według młodych ludzi tylko fizycznym zaspokojeniem własnych potrzeb. Takie katastroficzne credo znajduje uznanie wśród nastolatków, którzy, jak to bywa w tym wieku, chcą naprawiać świat, walczyć ze „starymi” i stworzonym przez nich porządkiem.

Czternasto- lub piętnastoletni chłopcy czy panny koncerty „Oddziału Zamkniętego” odbierają spon-tanicznie, zakładają na tę okazję postrzępione spodnie, nabijane ciwkami czarne kurtki, a włosy usztywniają szarym mydłem, gdzieś w ob-skurnej toalecie na 5 minut przed koncertem swoich ulubieńców. Do domu wracają jednak uczesani, wy-gładzeni, grzecznie zabierając się do

lekcji. Podobnie rzecz ma się z „Oddziałem Zamkniętym”, którego muzycy po kilku latach zapewne zmienią fryzurę, wdzieją eleganckie garnitury i zagrają tango-przytulango, gdzieś w knajpie, jeśli nie zmieniają do tej pory zainteresowań i nie założą np. budki z warzywami bądź kwaciarni. Czy wtedy też będzie ciągle zamknięta jak grupa, którą stworzyli w młodości?



Repr. Leszek Czura

— Więc ja pani to wytłumaczę. Ta piękność wenecka miała kolor włosów pani, kolor jej oczu i imię miała Lucja. Teraz pani rozumie? Kocham nad życie i bez wzajemności. Dlatego właśnie oszalałem chwilowo dla tamtej.

— Szkoda, że nie nazywała się Julia Capuletti, i że się to nie działo w Weronie. Na Romea ma pan duże zdolności — sztycha Lucia.

Brochwicz stał jak biczowany, bez słowa, niemal z rozkoszą bolesną. Baronówna powstała z kanapki.

— Niechże pan nareszcie nie pozwoli na szyderstwa. Niech pan zabroni mi tego! Niech pan nie będzie tak tragicznie zgnębiony i... i taki pokorny. Nie znoszę tego. Brzydzę się pokorą! — wybuchnęła z irytacją.

Hrabia podszedł do niej i wyciągnął ręce.

— Zegnam pani! Odchodzę. Ironia kobiety ukochanej może w mężczyźnie wywołać nawet brutalność, ale tylko wtedy, gdy on posiada jej miłość. Gdy jest przeciwnie, ona jest panią położenia, jemu zaś pozostaje jako jedyna obrona cierpliwość.

Ucałował ręce Luci i uczuciem. Dwie łzy zaszkliły mu się na rzesach.

— Zegnam panią i proszę...

— Panie Jerzy, a gdybym ja pomimo wszystko chciała być pańską żoną? Czy pan by mnie zechciał — rzekła Lucia, poruszona do głębi.

— Czy to nowe szyderstwo? — spytał patrząc jej w oczy.

— Nie, mówię szczerze.

— Panno Luciu! Wiec pani?

— Niestety, nie kocham pana, pan wie o tym, ale męczę się i ja strasznie. Jeśli mnie pan zechce taką, to może będziemy uspokojeni.

Jerzy tulił jej ręce do piersi. Szeptem ledwie słyszczym zapytał:

— A tamte nadzieje pani już pogrzebała?

Lucia wzdygnęła się.

— Prawie.

— Jednak jest pani niepewna?

Baronówna spojrzała błagalnie.

— Proszę, nie mówmy o tym. Chce mnie pan, czy nie?

— Pragnę cię, wielbię i chciałbym cię ukoić, upieścić, abyś zapomniała o swej niedoli. Jednak daj mi trochę nadziei, że z czasem pokochasz mnie, Luciu, Luciu moja!

Jerzy mówił z przejmującym uczuciem, ustami pełnymi płomieni.

— Nadzieja? — odszepnęła Lucia. — Ha! Niech ją pan ma. Miejęmy ją oboje! Ale nadzieja to ślepy magnes, wciąga ludzi na kolce życia, na jego ostrza. Lecz miejęmy ją: może ujarzmimy ten zły magnes? Może zładogą się nasze dramaty, nasze bóle? Jeśli pan chce, jestem jego...

Brochwicz uściśnął jej dłoń. Rzekł smutno:

— Nie dziękuję ci, bo za ofiarę dziękować nie można. Do uczuć moich dodałaś jeszcze trwogę. By cię nie stracić, Luciu, ale mam wiarę.

— I pan się nie boi? — spytała z podziwem.

— Nie. Zdaje mi się, że oboje nie mamy nic do stracenia — rzekł z mocą. — I jeszcze upoważniam cię, jedyna, do zerwania ze mną, gdyby tamte nadzieje opłyły.

Twarz mu się skurczyła cierpieniem: oczy zaszyły ponurą mgłą. Szarpał własną duszę, ale chciał ją mieć czystą.

Lucia spuściła oczy.

— Ty jesteś szlachetny, ja zaś podła!

Objął ją ramieniem delikatnie jak dziecko, wyszeptał łagodnie schylony nad jej jasną głową.

— Nie, ty jesteś prawą i szczerą, tylko biedną, bardzo starganą duszą. Wieść o ich zaręczynach doszła do Głębowicz w jesieni. Zgnębiła pana Macieja boleśnie. Waldemara zaś przestraszyła.

— On zabija się — jęknął Michorowski łamiąc ręce nad głową.

Tego samego dnia ordynat otrzymał list od hrabiego Herbskiego z Wiednia, donoszący mu, że w Jockey-Clubie spotkał Bohdana.

Waldemar natychmiast wyjechał za granicę.

XL

Ostatnie, piękne dni jesienne rzuciły na wiedeński Prater mnóstwo rozświetlonych płam powietrznych. Drzewa okryta purpura królewska oraz chińska barwa gorąco-żółta. Jeszcze szaty kolorowe otulały grube korony drzew, a różnorodność ich pociągała oczy.

Park kipiał życiem. Używano resztek pogody. Powozy prywatne, zapręgi dworskie, częstokroć niby kosze, bogate w kwiaty pięknych kobiet, lśniły swym przepychem w przepychu słonecznym. Aleje dla jeźdźców gęsto zdobiły zręczne amazonki, otoczone sportsmenami pierwszej wody. Szyk wiedeński rozlał się tu szeroką, bujną falą, oślepiał swą świetnością, łagodnie pieścił umiłowanie piękna, budził wytworność.

Wśród grona jeźdźców na licznej kłacz angielskiej, pochodzącej ze stajen hrabiego Elmera Szoetyniego, Węgra, byłego partnera ordynata Michorowskiego z zabaw klubowych. Teraz towarzyszył Bodziowi.

Hrabia Elmer, śniady brunet wrzący temperamentem, młodszy od ordynata i również kawaler, wciągał Bohdana w niebezpieczne dla niego kółka hulackie. Zabrał go do Wiednia z majątku swego, który Bodzio zwiedzał, i trzymał młodzieńczyka w ciągłym podnieceniu nerwów.

Bohdan zanurzył się w rozkosznej kąpieli życia stołecznego, już trochę zasnutego w jego pamięci. Czuł za plecami obowiązek szepczący morały, ale udawał, że ich nie słyszy. Jedyne co go kłuło aż do utraty zmysłów, to obawa pożyczki. Lękał się stracić pieniądze, które posiadał, drżał na myśl przegrania grubej sumy; ciągniony przez Szoetyniego siadł do stołika z miną miliardera, ale z duszą pełną strachu. Trzymał się jednak na wodzy i bronił, jak umiał, swej kieszeni. Chwilami, gdy niebezpieczeństwo już, już zagładało do niego, Bodzio w nagłej rozpacz pragnął trzęsienia ziemi albo pożaru, byle tylko móc zemknąć z tego piekielnego klubu. Kiedy raz przeczuł, że będzie musiał postawić grubszą stawkę, uległ zwykłej szczeroci i rzekł do Elmera tonem opryskliwym:

— Hrabia myśli pewno, że każdy Michorowski jest Rotschildem i może złotem pokrywać dachy. Ja jestem z tych miedzianych Michorowskich i radzę wam, dajcie mi spokój, bo będzie kłopot, jak się udławie tymi kartami.

— Och! Głębowicze to krezusowa fortuna! Nie ma obawy — wnios-kował paniczek galicyjski, orzerobiony na węgierskiego barona.

Bodzio się rozgniewał.

— Mam takie same prawa do fortuny głębowski. Jak do hiszpańskiego tronu. Nawet gdybym zaczął bardzo szperać, to — kto wie? — może bym został kandydatem do korony Bourbonów, ale do eksploatacji kasy głębowski nie mogę mieć pretensji.



MAKROBIOTYKA (7)

ZIARNA ZBÓŻ

Ziarno jest pożywieniem dostarczającym organizmowi nie tylko składników odżywczych, ale i życiowej energii. Należy je rozdrabniać bezpośrednio przed sporządzeniem posiłku, gdyż wszelkie przechowywanie pozbawia je tej tajemniczej mocy. W skład naszej podręcznej spiżarki powinny wchodzić: owies, jęczmień, żyto (ze względu na bardzo wysoką kaloryczność), kasza gryczana (z której także będziemy robić mąkę na pyszne gryczane naleśniki), kukurydza i prosa (dodanie mąki z prosa do pieczywa nadaje mu ciekawy smak).

Grubo zmielony owies, pszenica i jęczmień, zmieszane z płatkami owsianymi, kukurydzianymi i jęczmiennymi, powinny stanowić nasze śniadanie. Jest to tzw. *muesli*, potrawa ogromnie dziś popularna na

całym zachodzie Europy, zwłaszcza w Austrii i Szwajcarii, dzięki wielkim walorom odżywczym i radykalnemu wpływowi na utrzymanie pożądanej wagi. Jest bardzo sycająca i szybko przynosi rezultaty w postaci poprawy wyglądu skóry i włosów oraz łatwości koncentracji przy pracy.

Surówkę tę można sporządzić na różne sposoby. Oto jeden z nich. Kilka łyżek przygotowanej mieszanki, z dodatkiem pokrojonych suszonych owoców i ziarenek słonecznika (ewentualnie rodzynków czy suszonych winogron), zalewamy chłodnym mlekiem (przed jedzeniem lub wcześniej, jeśli chcemy, aby składniki zmiały). Możemy dodać łyżeczkę miodu, starte jabłko lub sok z sezonowych owoców.

Po surówce spożywamy chrupkie pieczywo (z sałatą i dowolnym rodzajem sera), które także przygotowujemy sami z następujących składników: 1 szklanka żytniej mąki razowej, 1,5 szklanki pszennej mąki razowej, wody i soli. Mąkę mieszamy z solą i wolno dodajemy wodę, aż do otrzymania sztywnego ciasta. Ciasto rozwałkowujemy i rozkładamy na blasze. Zrobimy nacięcia nożem w miejscach, gdzie ma być przełamane. Pieczemy w temperaturze 350° przez 15–20 minut.

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

szmaragdowe

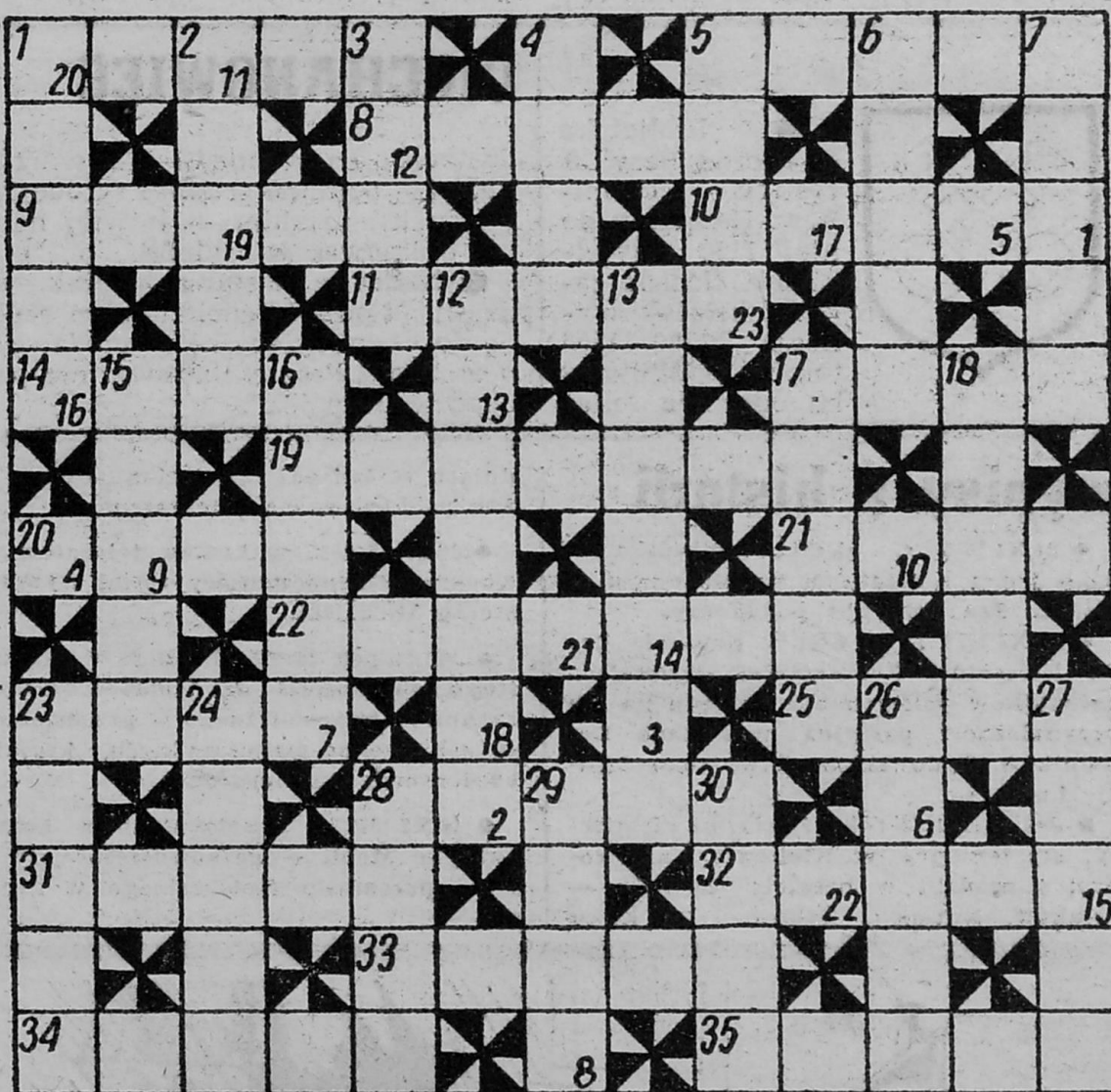
Podobno cesarz Neron (I w.n.e.) przyglądał się igrzyskom przez odpowiednio oszlifowany szmaragd. Tak więc już w starożytności ludzie próbowali sztucznie powiększyć siłę wzroku. Dopiero jednak wynalezienie soczewek utworowało drogę powstaniu okularów. Najwcześniej, bo może już w X wieku, używano ich w Chinach. Marco Polo widział je tam w roku 1270.

W Europie pierwsze okulary pojawiły się we Włoszech (prawdopodobnie we Florencji) ok. 1286 r. Za ich wynalazcę uważa się Aleksandra de Spinę. Na początku XIV wieku produkowano już je na skalę handlową w Wenecji.

OKULARY

Wczesne okulary miały wypukłe soczewki dla korygowania — dość powszechnej w starszym wieku — dalekowzroczności. Pierwsza wzmianka o okularach dla krótkowidzów pochodzi od Mikołaja z Kuzy, niemieckiego matematyka, astronoma i filozofa z połowy XV w. Ogromnym bodźcem do upowszechnienia okularów stał się rozwój czytelnictwa.

W 1877 r. zastosowano po raz pierwszy okulary kontaktowe dla ochrony gałki ocznej po operacyjnym usunięciu powieki. Pomysł okularów kontaktowych pochodzi od pioniera fotografii, Johna Herschela. Rozpowszechniły się one dopiero na początku naszego stulecia.



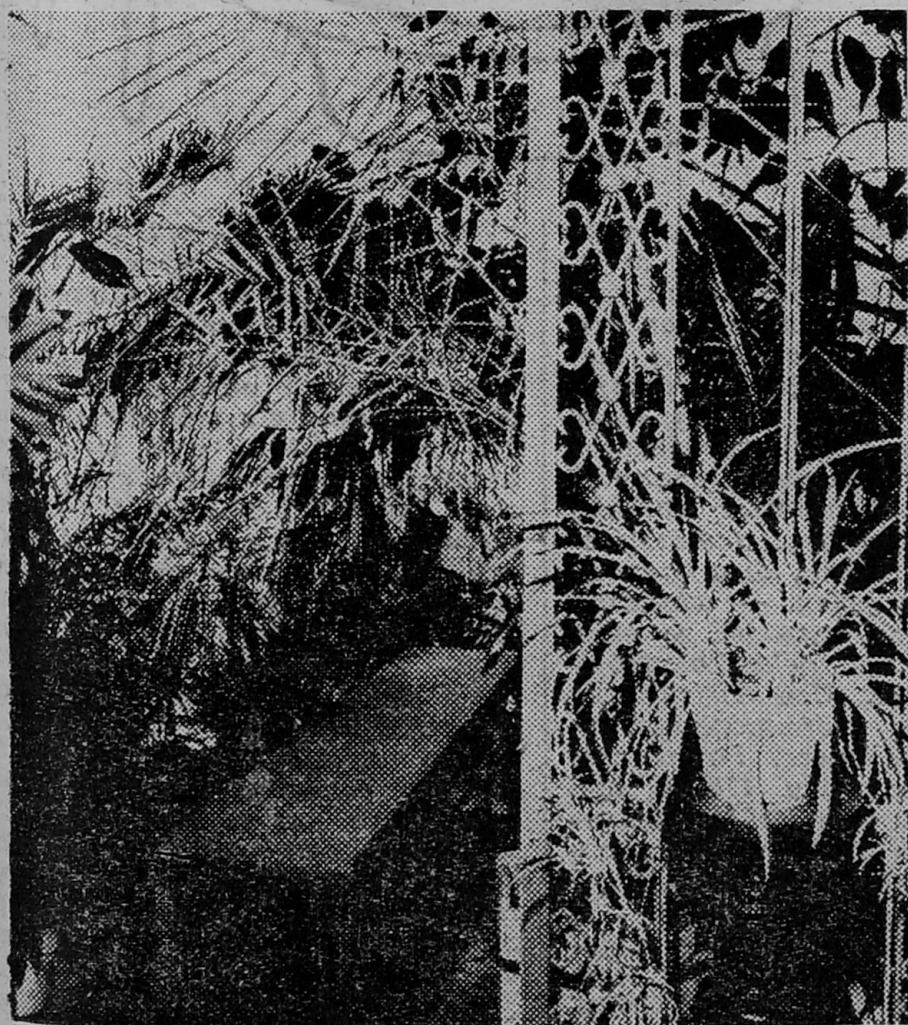
Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krątek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 22, utworzą myśl Geothego.

POZIOMO: 1) zuch, junak, 5) może być ostry w szpitalu, 8) Izabela z „Lalki” Bolesława Prusa, 9) jedna z muz, 10) kamień szlachetny, 11) górna część tchawicy, 14) dryf, 17) zasyпка osuszająca, 19) część tkanki, 20) urok, powab, piękno, 21) stolica jednej z radzieckich republik nadbałtyckich, 22) plonie, a nad nim szumia knieje, 23) podanie, legenda, 25) grupa osób popierających się, 28) wolne miejsce pracy, 31) atrybut słonia, 32) stały znak wysokościowy, 33) okres godowy u ryb, 34) gra mieszana w tenisie, 35) miasto obwodowe w europejskiej części Rosyjskiej FSRR.

PIONOWO: 1) płyn, 2) posag, 3) ścisk w autobusie, tramwaju, 4) używany jest do marynowania, 5) gesty, zwarty spłot traw wraz z ziemią, 6) styl klasyczny w pływaniu, 7) bazar, targ, 12) pieśń liryczna o tematyce rycerskiej, 13) napaść, najazd, 15) miasto, termin, określenie, 16) boczna część czoła, 17) hazardowa gra w karty, 18) klub sportowy z Warszawy, 23) miasto, z którego pochodzi drużyna piłkarska „Szombierki”, 24) występuje w I lidze piłki nożnej, 26) używany w budownictwie do klejenia papy, 27) największa rzeka naszego województwa, 28) zbudował pierwszy silnik parowy, 29) kierunek posuwania się statku, 30) ślad.

(„GENTO”)

Wśród czytelników, którzy nadesłali w terminie 10-dniowym pod adresem redakcji prawidłowo brzmiące hasło, rozlosujemy nagrody książkowe.



100-lecie roślin

Zakurzone liście nie mogą oddychać i wyparowywać wody, dlatego trzeba wstawiać pod prysznic nie tylko z okazji porządków przedświątecznych.

Późną wiosną oraz latem dobrze jest wystawić rośliny w czasie deszczu na balkon.

Nie wszystkie rośliny można wstawić do wanny. Odmiany pnące lub zwisające, o długich pędach,

przymocowanych do podpór, należy oczyścić bez zdejmowania ze ścian czy sprzętów. Lekko wilgotną ściereczką (lepiej — suchą flanelką) wycieramy z kurzu każdy liść od strony wewnętrznej i zewnętrznej. Zabieg rozpoczynamy od góry, aby opadający kurz nie zanieczyszczał niżej wyrastających liści.

Rośliny kaktusowe odkurzamy wyłącznie pedzelkiem o miękkim, krótkim włosiu.

Stragam pod trzynaściką



[illegible]

UMIEĆ PRZYJAĆ DOBRE I ZŁE

Widziałem we śnie pięknego, białego konia biegnącego po ogrodzonej łące. Moja babcia powiedziała mi, że to na pewno dobry omen. Czy jesteście tego samego zdania? A przy okazji odpiszcie, co oznacza sen z butelkami. Pełno butelek, puste i napełnione. To się wczoraj przyśniło mojej mamie. Ona chyba do was nie napisze, bo nie ma czasu, ale myślę, że jest także ciekawa. Kończę list, bo mam jutro powtórkę z chemii. Pozdrowienia od całej rodziny — Jacek z Ostrowi Mazowieckiej.

my zapowiada, że nadchodzi dla niej szczęśliwe dni. Przesyłamy pozdrowienia całej rodzinie.

„W moim śnie jechałam autobusem. Przewrócił się i rozpadł na dwie części. Ludziom nic się złego nie stało, a ja obudziłam się przestraszona. Mam dwadzieścia lat i pracuję w biurze jako goniec. Czytam waszą rubrykę z koleżanką. Bardzo nam się podoba. Ania L.”

Aniu, nadchodzą kłopoty. Główne finansowe. Potrwa długo. Nie rób tylko z tego dramatu. Po każdym okresie niepowodzeń zawsze

BUTELKĘ WIDZIEĆ - WESOKOŚĆ!



Babcia rzeczywiście miała rację. Twoja powtórka wypadła chyba nieźle. Białe konie to wspaniałe omen. Jesteś mądrym i bardzo samodzielnym chłopcem. I potrafisz sobą właściwie kierować. Podziel się swoimi umiejętnościami i wiadomościami z innymi, broń się jednak przed pułapką zarozumiałstwa. Zapewni ci to wiernych przyjaciół i porozumienie z dorosłymi. Sen ma-

następują dobre czasy, jeśli postępuje się rozsądnie, to jest tak, aby nie mieć samemu sobie nic do zarzucenia. Wszystko teraz zależy od tego, czy wyolbrzymiasz znaczenie napotkanych przykrości, czy też potrafisz powiedzieć: trudno, dam sobie w tej sytuacji jakoś radę. Może więcej uwagi będziesz mogła w tym czasie poświęcić nauce i zdobyć odpowiedni zawód?

niewiarygodne acz prawdziwe

Teledziwizor niewielkiego miasteczka w stanie Illinois przeżył pewnego wieczoru niecodzienną przygodę. Otóż w czasie wyświetlania reklam na ekranach telewizorów pojawił się Dahi Lon, guru miejscowej sekty Kościoła Transindyjskiego. Dahi Lon pobogostawiał swoich wyznawców i wezwał wszystkich do zerwania z konsumpcyjnym stylem życia. Początkowo teledziwizorowi myśleli, że zakupił on prawo do występu we wszystkich lokalnych stacjach, jednak ostry protest towarzystwa reklamowych oraz stanowcze dementi właścicieli stacji telewizyjnych ujawniły prawdę: Dahi Lon nie stał nigdy przed żadną kamerą. Sam Lon, z pochodzenia Sikh (Indie), oświadczył reporterom, że dokonał tego niezwykłego wyczynu przez pogrążenie

się w głębokiej medytacji. Celem jego „wystąpienia” miało być przywołanie nowych wyznawców oraz duchowe pokrzepienie niezliczonej gromadki wiernych. Ponieważ Dahi Lon odmówił przeprowadzenia eksperymentu w obecności przedstawicieli nauki i techniki, sprawa rewolucyjnego przełomu w transmisji telewizyjnej pozostała nadal nie wyjaśniona. Na wszelki wypadek miejscowe władze zakazały podobnych wystąpień, a stacje TV wycofały się z Kościoła Transindyjskiego o odszkodowanie.

Dla uniknięcia najazdu fanatyków, nazwa miasta — na prośbę jego mieszkańców — miała pozostać na razie w tajemnicy. Znał jednak uścisłstwo reporterów USA gwarantując wytrzymałym, że odnajdą natchnionego Guru.

gała, nikt dokładnie nie wiedział. Lekarze podejrzewali chorobę psychiczną, która miała jakoby osłabić jej serce. Dawne to były czasy i lekarze o medycynie wiedzieli znacznie mniej niż dziś.

Panią Annę Lee pochowano w grobowcu rodzinnym, a w pokrywę trumny — jak to było wtedy w modzie — wstawiono szybę.

Nazajutrz po pogrzebie koło grobowca rodziny Lee przechodził dozorca cmentarza. W pewnej chwili usłyszał słaby, jęklawy, nieco stłumiony głos. Zatrzymał się. Czyżby się mylił? Chyba nie, wydobywał się on z grobowca państwa Lee. Lecz dozorca nie chciał brać odpowiedzialności na siebie. Szybko wezwał lekarza.

Kiedy wspólnymi siłami otworzono trumnę, okazało się, że starsza pani Lee zdecydowała się powrócić na nasz świat. Szybko przewieziono ją do miejskiego szpitala, skąd po dwóch tygodniach wyszła już o własnych nogach. Po dwóch latach od tego zdarzenia pani Lee powiła dorodnego syna.

Mimo to w rozmowach z lekarzami zaznaczała zawsze, że na swą śmierć otrzymała tylko pewne ściśle określone moratorium — jak-

WRÓŻYMY



Z KART (2)

Po ułożeniu kart w 5 grup według porządku podanego w poprzednim tygodniu sprawdzamy, czy znajdują się w nich karty zgodne z poniższym schematem:

Grupa I. Sprawy zawodowe i materialne: 10 karo, 9 karo, 4 karo. As trefl, K trefl, 9 trefl (jest jednocześnie znakiem Zodiaku).

Grupa II. Prawa silnych nad słabszymi: D karo, W karo, 10 trefl, 6 trefl, 5 trefl, 10 pik, 9 pik, 8 pik, 6 pik.

Grupa III. Małżeństwo: 7 pik, 10 kier, 7 kier, 6 kier, 8 trefl, 4 trefl, 3 trefl.

Grupa IV. Wydarzenia nieprzewidziane: D trefl, W trefl, 2 trefl, As karo, K karo, 10 karo, 7 karo, 6 karo, As kier, K kier, 10 kier, 8 kier, 5 kier, 3 kier, K pik, D pik, 10 pik, 4 pik, 3 pik.

Grupa V. Znaki Zodiaku. Porządek czasowy:

Karta	Znak Zodiaku	Wiek (lata)	nr
W kier	Baran	15-20	1
As pik	Byk	20-25	2
3 karo	Bliźnięta	25-30	3
9 trefl	Rak	30-35	4
9 kier	Lew	35-40	5
D kier	Panna	40-45	6
W pik	Waga	45-50	7
5 karo	Skorpion	50-55	8
5 pik	Strzelec	55-60	9
7 trefl	Koziorożec	60-65	10
8 karo	Wodnik	65-70	11
4 kier	Ryby	70-75	12

Karty w tej grupie wskazują na czas, w którym nastąpi określone przez nie wydarzenie. Np. W pik w położeniu z lewej strony będzie oznaczać osiągnięcie zgody. Będąc jednocześnie kartą Zodiaku umożliwi nam obliczenie czasu, kiedy ona nastąpi. Obliczamy następująco: orientujemy się w wieku osoby, o którą pytamy w kabale, odnajdujemy znak i obliczamy, ile dni dzieli jeszcze tę osobę od zna-

czenia się w następnym. Liczbę tych dni dzielimy przez 12, a wyniki mnożymy przez numer znaku Zodiaku określającego wydarzenie. Np. osoba, której wyszedł w kabale W pik oznaczający zgodę — ma 34 lata. Do wejścia w znak Lwa pozostają jej jeszcze 324 dni. $324:12=27$. W pik wskazuje na nr 7, zatem $27 \times 7 = 189$, a więc zgoda nastąpi za 189 dni. Teraz wystarczy odszukać datę w kalendarzu.

Karty pokrywające się z podanym schematem tasujemy, a następnie układamy w jeden rząd od prawej do lewej. Często się zdarza, że wylosowane karty nie zgadzają się z podanym porządkiem. Jeśli więc w jakiejś grupie brak kart pokrywających się ze schematem — nie zdarzy się nic istotnego. I tak:

w grupie I — nie ma żadnej istotnej sprawy w życiu zawodowym czy finansowym,

II — nie należy się obawiać zdrady, konfliktu czy ludzkiej niesprawiedliwości,

III — nic się nie zdarzy w sprawach partnerstwa, małżeństwa itd. próżne projekty,

IV — nie zdarzy się nic nieprzewidzianego.

V — nie nadejdzie teraz żadne wydarzenie, które by miało określoną datę.

Jeżeli wśród wylosowanych kart znajdzie się parzysta ilość zgodnych ze schematem, kartę środkową wyznaczamy tak, aby kart prawych było o jedną więcej niż lewych. Jeżeli ilość jest nieparzysta, to prawych i lewych będzie tyle samo.

Po rozłożeniu kart stawiamy kabałę, uwzględniając również kartę reprezentującą osobę, o którą pytamy.

LESZEK SZUMAN

ŻYCIE



PO ŚMIERCI

ZYWCEM POGRZEBANA

Przed wielu laty w Stanach Zjednoczonych zmarła pani Anna Lee. Chorowała od dłuższego już czasu, więc sensacji nie było. Anna swe życie zakończyła w pewną burzliwą, sztormową noc nad Pacyfikiem. Na co właściwie niedoma-

by to dziś można było skwitować jej uwagi.

Kiedy inni twierdzą, że byli już na tamtym świecie i widzieli istoty, z którymi rozmawiali, musiał to być jakiś inny świat niż ten, gdzie byłam ja.

Przypominam sobie tylko, że przebywałam w wielkich podziemiach. Zawsze otaczał mnie rdzawo-czerwony kolor. Miałam dziwne wrażenie, że znajduję się w kuli, która była czyjąś czaszką.

W tym ukryciu czułam się nawet dobrze i bezpiecznie. Byłam zadowolona. Miałam dziwne uczucie, tak jakby ktoś przeze mnie szukał jakiejś drogi, aby z tamtego świata dostać się na świat, powiedzmy „nasz”. Może dlatego powróciłam, aby urodzić dziecko.

Czuje, że nie pożyję długo... Dziecko pójdzie drogą, jaką mu wytyczono na tamtym świecie. Ja zaś byłam tylko pośrednikiem, środkiem do celu.

Gdy w rok po śmierci pani Lee przeprowadzono sekcję zwłok, stwierdzono ze zdumieniem, że według wszelkich praw medycyny od wielu lat powinna ona być na tamtym świecie.

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

winna ona była normalnie umrzeć. Jak to się stało, że mimo to ożyła, żaden lekarz nie potrafi wytłumaczyć. Wszak przewyciężyła śmierć, która trzymała ją już mocno w swych szponach. Żaden fizjolog również nie mógł znaleźć sensownego wytłumaczenia fenomenowi Anny Lee.

Przypuszcza się jedynie, że była ona opanowana ogromną wolą życia i całą swą energię włożyła w to pragnienie. Jest to jednak tylko pusty, nie mówiący frazes. Ludzi — którzy nie chcieliby umrzeć, lecz nadal żyć — jest przecież bardzo wielu. Badałże wszyscy.

Ta silna wola miałaby ją rzekomo opuścić, gdy urodziła dziecko, spełniając tym samym sens swego istnienia na naszym świecie?

Do jakiego stopnia pani Lee zbliżyła się do granicy życia i śmierci trudno na podstawie jej wypowiedzi orzec. Halucynacje, jakie miała po rzekomej śmierci, spotyka się często u narkomanów. Podobnie trująco mogły podziać leki, jakie podawano chorej.

Może na tej drodze powstały w jej mózgu skojarzenia o przedwczesnej śmierci?

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

Wówczas kiedy dozorca cmentarza posłyszał jej jęki, po-

wiedza tajemna

organ sumoishny pod redakcją
Joanny Sabiło i Andrzeja Wesołowskiego

wiedza tajemna